Nr. 1. Lwów, dnia 1. Stycznia 1883 Rok VI.



PRENUMERATA ROCZNA: 10 marek, 5 złr., 5 rs., 12 frank. | WYCHODZI Z POCZĄTKIEM KAŻDEGO MIESIĄCA. | INSERATY przyjmują się po zwykłej cenie.

NA ROK NOWY.

Stajemy u progu szóstego roku naszego działania na polu piśmienniczem. Jaki ono przyniosło skutek, niech ogół sądzi, my ośmielamy się wyrzec, że u wstępu naszej czynności zastaliśmy niemal pustą niwę, dziś na niej zasiane ziarno, które oby rychło bujny plon wydało. Patrzącym w niedaleką przeszłość, smutny przedstawia się widok. Przestrzenie łowieckie widzimy w niej jako istne *res nullius* bez opieki, bez ochrony, bez prawa. Istnieli wprawdzie właściciele obszarów łownych, lecz ci niczem nie krępowani, uważali łowiectwo za czczą rozrywkę lub za własną, bezwzględną korzyść, i tępili zwierzynę bezmyślnie albo sami, lub dozwalali tępić ją uprawnionym i nieuprawnionym. Rozwijało się więc swobodnie kłusownictwo różnego rodzaju, a zwierzostan kraju, niegdyś bogaty, upadał coraz bardziej. — Istniały wprawdzie w karby nauki ujęte prawidła racyonalnego łowiectwa i ochrony zwierzyny w naszej literaturze, a bogatsze jeszcze w obcej, ale któż wówczas chciał uważać łowiectwo jako umiejętność, któż zapragnął naukowego kształcenia się w tym zawodzie? Myśliwym się nazywał, kto celnie strzelał, kto największą liczbę ubitej zwierzyny zapisał w pamięci lub pamiętniku. Badanie praw przyrody, natury zwierząt łownych, ich obyczajów, ich przymiotów i właściwości, topograficznego położenia i usposobienia kraju pod względem łowieckim, rozwoju i postępu przyrodnictwa w ogóle, a myśliwstwa w szczególe, pozostawiał ludziom nauce i piśmiennictwu oddanym, uważając tę pracę za nienależącą w obręb ściśle łowiecki. Praktyka była bożyszczem łowców, ją tylko pragnęli myśliwi nabyć nie bacząc wcale, ażali ona na racyonalnych polega podstawach. — Istniała wprawdzie Ustawa łowiecka, ale ona głęboko pogrzebana była w Zbiorze praw państwowych i przywalona kamieniem lekceważenia i zapomnienia. Któryż z myśliwych znał owe Ustawy, który wykonywał je, jakaż Władza powoływała się na nie karcąc przestępstwa łowieckie? Bez wahania przyzna nam każdy głębiej w stan przeszłości naszej łowieckiej wpatrujący się, że barwy, których użyliśmy do tego obrazu, są zgodne z prawdą, żeśmy nie maczali pióra naszego w żółci, ani też rozmyślnie

otoczyli owe czasy czarnemi chmurami, aby tem jaśniejsze światło rzucić na działanie galicyjskiego Towarzystwa łowieckiego i jego Pisma, Owszem, zaledwo blady szkic daliśmy istotnego stanu rzeczy, a jesteśmy pewni. że obraz wykończony w najdrobniejszych szczegółach, z kolorytem ścisłej prawdy i wierności, przeraziłby i zasmucił troskliwego o dobro kraju czytelnika.

W chwili, gdy kraj uzyskawszy swobodę działania, skrzętnie i gorliwie zajął się najważniejszemi i najżywotniejszemi swemi sprawami, gdy już silne położył podwaliny do podniesienia dobrobytu, nie dziw, że i sprawa łowiecka znalazła orędowników Podjęcie jej nie było przeto czczą igraszką, lecz poważnem sondowaniem nowego źródła, z którego istotny pożytek dla kraju wytrysnąć mógł. Tak powstało galic. Towarzystwo łowieckie, nie w celu urządzania łowów, nie dla przysporzenia rozrywki i przyjemności, jak mylnie dotąd jeszcze część poważnej nawet opinii publicznej mniema, zakreśliło ono sobie obszerny i istotnie pożyteczny obręb działania. Zamierzyło ono stanąć na straży sprawy łowieckiej w najobszerniejszem jej znaczeniu, utworzyć zastępy myślących i racyonalnie wykonujących swój zawód myśliwych, szerzyć w tym celu naukową wiedzę, strzedz Ustawy i przypominać ją, rugować złe zwyczaje, przesądy, zabobony, tępić niemoralne wdzieranie się w prawa cudzej własności, rozszerzyć zakres naukowej wiedzy przyrodniczej, postawić stałe normy dla łowiectwa, ochraniać zwierzostan pożyteczny, utworzyć z niego źródło realnego pożytku, słowem czuwać w każdej chwili, byśmy jak pod każdym innym względem, tak również łowieckim, stanęli na równi z innymi narodami, które słusznie chlubią się zdobyczami prawdziwej cywilizacyi, pracy, nauki i głębokiej reflexyi. Najodpowiedniejszym środkiem skutecznego działania w takich zamiarach mógł być przedewszystkiem Organ tego Towarzystwa, jako widomy objaw jego celów i dążeń. Tak powstał „Łowiec“, Pismo poświęcone specyalnie sprawom łowieckim, a w dalszem i koniecznem następstwie sprawom przyrodniczym w ogóle. Zwolna rozwijały się jego siły, dziś już wzmocnionemi skrzydłami wzbija się do lotu w wyżyny, z których znosi pożyteczną wiedzę i prawdziwą nie tylko dla łowiectwa, ale nawet dla ogólnego dobra krajowego korzyść. Już nieraz omawialiśmy znaczenie tego Pisma, nie chcemy się powtarzać, nadmienimy tylko, iż samo trwanie jego w obecnej treści świadczy wymownie o żywotności sprawy, której jest organem, o istotnym pożytku, jaki naszej społeczności łowieckiej i krajowi przynosi. Powołał on do działania teoretycznego nietylko znakomitych naszych badaczów przyrody i myśliwych, ale też innych dotąd nieznanych, którzyby może niemieli nigdy odwagi wystąpić z swemi pracami na szerszej arenie piśmienniczej, których obszerna wiedza przyrodnicza i łowiecka wraz z nimi zstąpiłaby do grobu, nie pozostawiwszy śladu. Pozwolimy sobie zacytować imiona owych nader pożytecznych dziś pracowników. Hr. Marceli Tyszkiewicz, Alexander Ubysz, Ludwik Weeber, Kazimierz Remiszewski, C. Kochanowski, zachęceni prymicyą, odbytą w „Łowcu“, może wkrótce szerszej publiczności dadzą się poznać, może na tych pierwotnych pracach ugruntuje się w nich szlachetny zapał do obszerniejszych badań przyrody i jej tajemnic. Zasługą to będzie „Łowca“ i podniesionej z niepamięci sprawy łowieckiej.

Zresztą kolumny „Łowca“ świadczą wymownie, o ile łowiectwo nasze obecne różni się od dawniejszego, o ile na tem polu, na tym do niedawna ugorze, rozwinął się pożyteczny zasiew, naznaczył się widoczny postęp.

Pięć lat swego działania zamyka Redakcya temi reflexyami. Żywą ona przejmuje się otuchą, że przyszłość promienniejsze jeszcze rzuci światło na jej cele, że naukowa wiedza rozszerzy się, że głębsza myśl, szlachetna dążność będzie dyrektywą dla naszych myśliwych, że wreszcie Redakcya wsparta silną pomocą długo jeszcze na pożytek kraju działać będzie.

Przyszłość — nieodgadnioną jest dla nas tajemnicą, ale taką ona zapewne będzie, jaką sobie sami wyrobimy. Prawdą a pracą dojdziemy do celu naszych dążeń! Z tem hasłem ślemy czytelnikom naszym postaremu szczere a serdeczne: **„Szczęść Boże!!“**

Sprawy Galic. Towarzystwa Łowieckiego.

Dnia 8 Grudnia odbyło się posiedzenie Wydziału. Przewodniczył wiceprezes Towarzystwa Dr. Michał Gnoiński Obecni członkowie: Bohdan Hipolit Łoziński Józef, Dr. Rieger Zygmunt, Dr. Roiński Emanuel, Siegler Eberswald Juliusz, Simon Edward, Zontak Władysław.

1. Przyjęto protokół z ostatniego posiedzenia.
2. Przyjęto odczytany artykuł wstępny do Nru 1. „Łowca“ z roku 1883.
3. Nad wnioskiem Exc. hr. Włodzimierza Dzieduszyckiego: „Tworzenia po miastach i miasteczkach składów zwie-

rzyny w celu poskromienia kłusownictwa, ułatwienia nabycia tej zwierzyny i normowania jej ceny". — wszczęła się żywa dyskusya, która jednak do stanowczego orzeczenia nie doprowadziła. Uchwalono ostatecznie, by za pomocą delegatów zasięgnąć opinii w tej mierze ogółu członków Towarzystwa. Zresztą postanowiono prosić wnioskodawcę o obszerniejsze umotywowanie swego wniosku. Drugi wniosek Exc. hr. Włodzimierza Dzieduszyckiego „Wydawnictwa kalendarza myśliwskiego", odroczono do czasu późniejszego.

4. Przyjęto przygotowaną listę delegatów Towarzystwa łow., proponowanych na każdy powiat, i polecono Sekretarzowi rozesłać jak najrychlej zaproszenia do objęcia tej honorowej funkcyi wraz z prośbą o spieszną odpowiedź.
5. Na interpellacyę: „jaką odpowiedź otrzyma wniesione przez Wydział Tow. łow. do Magistratu podanie, aby na rogatkach lwowskich przepuszczaną była zwierzyna tylko prawnie wprowadzana", — odrzekł prezydent miasta Lwowa Dr. M. Gnoiński, iż Magistrat lwowski przestrzega ściśle Ustawy, wobec równouprawnienia jednak niepodobna sprawdzać prawa posiadania artykułów, przez rogatki wprowadzanych, trzebaby na to osobnej Ustawy. Wreszcie przyrzekł rozpatrzyć się bliżej w tej sprawie, aby uczynić co można.
6. Nad wnioskiem Stefana Łozińskiego „zaprowadzenia certyfikatów na ubitą zwierzynę przez uprawnionych do tego właścicieli", — przeszedł Wydział do porządku dziennego oświadczając, iż obecnie niepodobna go w życie wprowadzić.
7. W skutek wniosku Henryka Kruszewskiego: „Wnieść do Wys. c. k. Namiestnictwa prośbę, aby ono nakazało za pośrednictwem c. k. Starostw wszystkim Gminom i Obszarom dworskim trzymanie psów na uwięzi, niebranie ich z sobą w pole, a to pod rygorem kary pieniężnej i utraty włóczących się psów", uchwalił Wydział poprzeć ów wniosek u Wys. c. k. Namiestnictwa.
8. Postanowiono zbierać się na posiedzenia wydziałowe każdego pierwszego wtorku po 1ym dniu miesiąca.
9. Wreszcie uproszono Dra E. Roińskiego, by zbadał, czy i o ile Ustawa łowiecka, obecnie obowiązująca, wymaga reformy.

Na tem zamknięto posiedzenie.

Wpisali się w poczet członków Tow. łowieck.

Manasterski Seweryn.
Morsztyn Tadeusz hr.
Morsztyn Władysław hr.
Wczelik Aloizy.
Paliszzewski Adam.
Towarzystwo myśliwych w Rohatynie.

MYŚLIWSTWO i MYŚLIWI we FRANCYI, ANGLII i w NIEMCZECH

PRZEZ

De la Rue.

(„La chasse illustrée" 1882. tł. J. Ł.)

Na podstawie cyfry wydawanych przez prefektury kart myśliwskich, jawnie się okazuje, że we Francyi najwięcej myśliwych. U nas na wszystkich szczeblach społeczeńskich, od łatacza obuwia do prezydenta Rzeczypospolitej, wszyscy polują. Przeciwnie dzieje się w Anglii i w Niemczech. Z tej mięszaniny zwolenników łowiectwa wynikają liczne nadużycia, które prowadzą niestety do zupełnego wytępienia zwierzyny. Szukamy środków zaradczych — a pozostaje nam tylko nadzieja. Deputowany, któryby miał odwagę zaproponować z trybuny prawo surowe wymierzone przeciw kłusownictwu, wystawiłby na szwank swoją popularność, i ściągnąłby na siebie powszechne niezadowolenie. Czyliż p. Chavoix, stawiający najfałszywsze, najniedorzeczniejsze pojęcia w tym przedmiocie, nie zjednał sobie popularności u pewnej klasy ludzi swego departamentu? Wniosek p. Chavoix uzyskałby niezawodnie poparcie w Izbie, a jednak powinnaby ona raczej jednogłośnie uznać gorącą potrzebę rychłej ochrony zwierzyny, która dostarcza tak pożywnego i użytecznego pożywienia dla ogółu. Armija myśliwych, złożona z indiwiduów tak różnorodnych, jest o wiele szkodliwszą, jak się na pozór zdaje, nie dopuszcza ona ulepszeń i reform, jakie mogłyby być proponowane przez umysły oświeceńsze, nie szczędzące trudu w celu zbadania tej sprawy, tak dziwnie pojmowanej z powodu osobistych przewidzeń nawzajem się z sobą ścierających. Prawdą to jest tak niezawodną, iż gdy dziesięć osób w tej sprawie o zdanie zapytasz, nie znajdziesz dwóch równobrzmiących, nawet między najracyonalniej patrzącymi na rzecz niedostrzeżesz zgody — istotna to wieża Babel, a ponieważ wiele tu działać trzeba, obawiać się należy, iż nic się nie zrobi. Co do ochrony zwierzyny większa posiadłość nie będzie jej stawiać trudności, owszem ochrania ona ją sama i strzeże. Istotną przyczyną wytępienia kuropatw i zajęcy, prawdziwą zawadą ich ochrony, jest mniejsza własność i parcellacya gruntów, które nie strzegą zwierzyny, nie widzą własnego interesu w jej ochronie. Jestto naturalnem następstwem lekceważenia tego, co się posiada. Nie czyniąc zmiany w prawodawstwie, wyczekując lepszego prawa łowieckiego, możnaby według mego zdania i przekonania coś przecie pożytecznego dla myśliwstwa uczynić nawet u tych, którzy na drobnym kawałku ziemi gospodarują.

Rozważmy, co właściwie się dzieje. Z chwilą otwarcia pory łowieckiej, uganiają od świtu myśliwi miejscowi i obcy, nie posiadający nawet piędzi ziemi, wybijając wszystko, kuropatwy, przepiórki, młode zajączki. Wieczorem wszystko wytępione, nic już nie ma, a jeżeli strzelcy miejscowi na swych wycieczkach niedzielnych znajdą jeszcze jakiego zająca lub kuropatwę, to zawdzięczają powodzenie chyba dobrze strzeżonemu sąsiedztwu. Byłem nieraz świadkiem tego przerażającego zjawiska i sądzę, iż nikt zaprzeczyć nie zdoła temu smutnemu obrazowi. Któż to są ci myśliwi? Obcy, jak wyżej powiedziałem, po większej części nieznani mieszkańcom, którym szkodę przynoszą wybijając i unosząc zwierzynę, którą oni ściągają i żywią. Prawo nakazuje, iż polować wolno tylko na własnej ziemi lub na dozwolonej. Któryż z tych korsarzów na cudzej ziemi może się wykazać pozwoleniem polowania od właściciela, i w następstwie nie staje w jawnej sprzeczności z prawem? Narażam się na zarzut, iż owi myśliwi zyskują ciche przyzwo-

lenie w apatyi i niedbałości mieszkańców. Przeczę temu stanowczo i jestem pewny, iż na 50 mniejszych posiadaczy niezawodnie 25 będzie wielce uradowanych, gdy nie ujrzą takich myśliwych polujących na ich terytoryum. Wszakże to bezprawie, gdzież są Władze, dla czego nie zabiegają temu złemu? Władza, której dotykam, jest merostwo. Obowiązane strzedz dobra gminy i jej własności, dla czegoż z całą surowością nie występuje przeciw tym, którzy polują na cudzych gruntach bez upoważnienia? Łatwą byłoby rzeczą ułożyć listę dozwalających i niedozwalających polowania na swoim gruncie, polowanie na takiej warcabnicy byłoby prawie niepodobnem· Trudność ta wywołałaby w następstwie ukrócenie napaści myśliwych obcych, kłusowników, i przyczyniłaby się niezawodnie do ochrony znacznej liczby zajęcy i kuropatw. Poprawa łowiectwa zwróciłaby pewnie uwagę posiadaczy na nie, i wątpić nie można, iż wkrótce płaconoby im za to. Czyż nieprawdopodobnem jest przypuszczenie, iż ci właściciele obszarów łownych, własnym interesem zniewoleni, doznając pomocy mera, w końcuby zrozumieli, iż niezłąby dla nich było spekulacyą wydzierżawiać owe obszary? Pojmuję, iż nie łatwoby było zyskać na to powszechnej zgody, lecz gdyby nawet to się w zupełności nie udało, jednak jest rzeczą pewną, że zwierzyna zamiast zmniejszać się, jakto się dziś dzieje, znaczniebу wzrosła. Rzucam tu myśl, i mniemam, iż ona jest wykonalną u mera popularnego i rozumnego. To, o czem mówię, istnieje wyłącznie tylko we Francyi, nie ma tego u innych narodów warto się zastanowić. Dla lepszej jasności w tym wykładzie podzielę naszą społeczność łowiecką na trzy kategorye. Umieszczam w trzeciej sprawiedliwie tych myśliwych, o których mówiliśmy wyżej, a którzy wspólnikami są i pokrywnym kłusowników. Innego im znaczenia i zaszczytu nie nadaję. Najważniejszą grupę, zajmującą drugi szereg nad miarę licznych adeptów św. Huberta, stanowi mieszczaństwo, handel i przemysł, średni urzędnicy i pensyonowani wojskowi. Niektórzy z nich są posiadaczami ziemi, nie dosyć jednak rozległej, aby mogli polować tylko u siebie. Największa część tej drugiej kategoryi łączy się w towarzystwa celem dzierżawienia polowania w lesie, czy w polu, byle niezbyt wiele kosztowało. — Skąpiej obdarzeni przez fortunę, zmuszeni strzedz swej kieszeni, nie czynią nakładów na hodowanie, strzeżenie, przechowanie i rozmnożenie zwierzyny. Nie troszcząc się o przyszłość, głównem ich zadaniem bić jak najwięcej, kury czy sarny, do wszystkiego strzelają. Zarzut ten ściąga się szczególnie do tych, którzy narażają się na skutki złego humoru swych gospodyń, gdy powracają z niczem. Tak więc niektórzy z takich panów w Paryżu, jeżeli wracają z próżną torbą, wstępują z przezorności do *La Vallée*, aby ocalić swój honor i ubezpieczyć od grożącej w domu burzy. Mało jest takich towarzystw, któreby nie posiadały wybornych statutów, niestety nie zawsze one są przestrzegane, i wiele jest takich, którzy nie robią sobie skrupułów wykraczać z granic przepisanych, znałem nawet jednego nie troszczącego się wcale o grzywnę, wolał płacić, a nie odmawiał sobie przyjemności strzelać do kur. Wynagradzając sobie liche rezultaty polowań, niestowarzyszeni mają przyjaciół, sąsiadów, którzy ich zapraszają, jeżeli są dobrymi strzelcami, to chętnie nadużywają swej zręczności, wybijając bez względu i litości zwierzynę swego gospodarza. Rzeczą jest naturalną, że w czasie wyborów takie zaproszenia są częstsze, a kosze ze zwierzyną więcej napełnione. Każdy z tych strzelców ma z sobą przynajmniej jednego psa, najczęściej wyżła. Szkoda, iż niemam talentu nakreślenia portretów tych zwierząt wszystkich! Byłby to niezawodnie zbiór najciekawszy, najsmutniejszy, najmniej podchlebny dla naszej miłości własnej, który jednakże miałby przynajmniej tę zasługę, że mówiąc w oczy odsłoniłby godny pożałowania stan, w jaki popadły nasze krajowe rasy tak niegdyś szlachetne, z taką zawiścią uważane przez inne narody. Między tysiącami tych psów, z wyjątkiem nie wielu barwy biało-pomarańczowej, zwanych słusznie czy niesłusznie psami św. Germana, nieznalazłby się może ani jeden, o którymby na pewne można wiedzieć, zkąd pochodzi i do jakiej rasy należy. Ich wychowanie nie wiele więcej obiecuje, jak kształty i pochodzenie. Jeżeli się znajdzie między nimi dobry, to chyba wyjątkowo, a wtedy odnosi się to do wyjątkowych przymiotów jego pana. Wyjawiając przywary i zdrożności naszych współbraci klasy średniej, wykazuję także odwrotną stronę medalu, mającą wiele dobrego w sobie. Zarzuciłem im zaprawdę, iż nie oszczędzają zwierzyny, lecz nie byłoby rzeczą sprawiedliwą oskarzać ich bezwzględnie, gdyby bowiem wszyscy oni byli tępicielami polując na trzech czwartych częściach terytoryum francuskiego, to już od dawna nie byłoby ani jednej zwierzyny, chyba w wielkich posiadłościach. Owszem szczęśliwy jestem, iż mogę zapewnić o istnieniu wielu znanych mi towarzystw, które nie tępią zwierzyny, lecz podnoszą zwierzostan na przestrzeniach dzierżawionych, znam też takie. które składają się z wielu członków, a kierowane są wybornie i urządzone. Czyliż nie czytamy doskonałych artykułów, przesyłanych przez owych członków do naszego Pisma? Publikacye, książki tej treści któż je kupuje? Myśliwi średniej klasy raczej, nie warstwy arystokratyczne, które nie znajdują czasu do ich czytania i lekceważą je. Proszę rzucić okiem na listę tysięcy abonentów takich pism, a będzie już ten rzut oka jawnym dowodem, że nieprzesadzam, i że moje twierdzenie jest ścisłą prawdą. Niestety wszelkie usiłowania, najlepsze chęci paraliżowzne są przez niedostateczną straż, przez zuchwałość i bezkarność kłusownictwa. Lecz niech deputowani nasi uchwalą odpowiednie prawa wspierające ludzi dobrej woli przyrzeczeniem surowego ścigania i karania winowajców, niech już raz zapomniane będzie owo fatalne *res nullius*, niech zwierzyna stanie się istotnie własnością posiadacza, nie złodzieja; a wnet się okaże, że ci sami myśliwi, dziś tak niedołężnie strzegący i ochraniający zwierzynę, uznani prawnie jako jej właściciele, poczną ją najgorliwiej strzedz i ochraniać. Wszakże to przyrodzone usposobienie nasze, iż strzeżemy to, co jest naszem, a lekceważymy, gdy nie jesteśmy pewni posiadania.

Pozostaje nam mówić teraz o większych posiadaczach ziemskich, ich łowach i polowaniach, dzierżawionych w lasach, należących do dawnej listy cywilnej. Spojrzymy więc na magnatów, bankierów, plutokratów, wielkich przemysłowców, aż do prezydenta Rzeczypospolitej i jej ministrów. Względy jakieś dla tych ulubieńców fortuny byłyby nie na miejscu, wszakże *noblesse oblige*. Będę surowym, ale sprawiedliwym i nie doznam wyrzutu sumienia. Co do pomnożenia zwierzyny, zwłaszcza lotnej, poświęcają ci panowie nieraz znaczne summy dla rozkoszy polowania, szczególnie w departamentach sąsiadujących z Paryżem. Poświęcenie to godne uznania i pochwały. Nie dosyć jednak łożyć pieniądze, trzeba jeszcze działania umiejętnego, wiele doświadczenia. Tych dwóch właściwości brakuje przeważnej części lubowników myśliwstwa, którzy tylko groszem szafują. Straż u nich składa się najczęściej z wieśniaków, opatrzonych w blachy, którzy nie umieją zręcznie nastawić samołówki, tępić szkodliwych zwierząt, z którymi rozmnożenie zwierzyny jest niemożliwe. Są to stzażnicy i kierownicy łowów, do których ci panowie w wszelkich sprawach

łowieckich się odnoszą. Dzieje się to głównie na wielkich przestrzeniach oddalonych od Paryża, toż zwierzyna tam jest rzadką. Żelaza jako samołówki nader pożyteczne i niezbędne, są większej części właścicielom na prowincyi wcale nieznane. Tu nie znajdziesz ani jednego planu ułożonego, regulującego porządek i pochód obławy, to też w dniu łowów czas się traci na naradach i na niepewności, jak się brać do rzeczy. Jestem często świadkiem tego widowiska, wcale nie pożądanego dla gościa. Nie ujrzysz też u tych panów regestrów, zdających sprawę z ubitej w każdym roku zwierzyny, inwentarza pozostałej w rewirach po skończonej kampanii, objaśnień ściągających się do rozmnożenia lub ubytku jej, wykazu wpływów temperatury i t. d. Ta niewiadomość w dziedzinie ekonomii łowieckiej, która zdaje się być wstrętną dla umysłów myśliwych francuskich, jest powszechną, ta niewiadomość jest główną przyczyną smutnego stanu łowiectwa w przeważnej części większych posiadłości naszych. Ów brak porządku i metody wyjaśnia nierówność i niepewność rocznych rezultatów i sprawia, że ci właściciele, którzy nie umieją regulować liczby swej zwierzyny, zwłaszcza królików, narażają się na procesa, i muszą płacić za szkody wyrządzane sąsiadom. Gdyby właściciele polowania znaczniejsi prowadzili starannie i od dawna dziennik łowiecki, ileżby z niego pożytecznych czerpali wiadomości! Jakąż usługę oddaliby naszym deputowanym, którzy obecnie zajmują się rewizyą prawa z 21 Maja 1844! W okolicach najbardziej lesistych mamy amatorów polowania z psami tak w średniej klasie jak między bogaczami. Przyjemość ta żywo poruszająca, z namiętnością używana, jest właściwością francuską, rzadko znajdowaną u obcych. Trzy czwarte liczby dzików, lisów, wilków i mała część zajęcy, bitych we Francyi, pada przed psami. Czyliż nie może liczyć na powodzenie, kto pragnie strzelać do zająca dobrze prowadzonego przez trzy lub cztery psy gończe. Uczucie przyjemności, jakiego myśliwy doznaje przy polowaniu tego rodzaju, nie ma nic wspólnego z ponurem zadowoleniem, jakie sprawia polowanie z nagonką, które jest właściwie rzezią. (Dalszy ciąg nastąpi).

Z LISOWICKIEJ KNIEI

PREZEZ

Kazimierza hr. Wodzickiego.

Nie zamierzam nużyć łaskawych czytelników opisem szczegółowym polowania w Lisowicach, gdyż czyni to dokładnie i sumiennie nasz sekretarz hr. Leopold Starzeński, lecz wyrywam tylko kartkę z tego dzieła, obrazek, którego wspomnienie utkwi mi w pamięci na długie lata. Są w życiu ludzkiem dnie chmurne, nękające i zniechęcające, nazwane trafnie przez Francuzów dniami samobójstwa. W każdym zawodzie, w wszelkich stosunkach i okolicznościach tak nam uporządkowała Opatrzność szereg lat na tej ziemi, abyśmy się do ziemskiej pielgrzymki naszej zbytecznie nie przywiązywali, a doświadczając wiele złego umieli ocenić dobro nam użyczone Są znowu dnie pogodne, w których wszystko się darzy, nadzieje wzrastają i ustalają się, rzeczywistość nam się przyjaźnie uśmiecha, dusza zadowolona, a umysł usunąwszy troski i niepokoje rozkosznie używa przyjemności, pamięć zaś, ta wierna nasza towarzyszka, odzwierciedlająca przejścia życia, miłe pieśni wspomnienia, łagodzi przykre wrażenia. Otóż pogodnym był ów dzień pamiętny, w którym Patron nasz postanowił nam wynadgrodzić przetrzymane wichry i burze, brak spotkania, usunięcie się pokuśnych słonek, codzienne zamoczenie nóg, wreszcie niemożność wypędzenia sarn z okrytych liściem lasów. Błysnęło słońce, Eol przestał dmuchać przeniosłszy swe żałosne koncerta w sfery dalekie, i drużyna ożywiona dobrym duchem ruszyła w dalekie bory. Już dzień jeden straciliśmy na szukaniu dwóch niedźwiedzi, pozostawiających niewątpliwe ślady swej obecności na błocie, dowody niepospolitej żarłoczności oraz podziwienia godnej łatwości trawienia po objedzeniu się twardymi żołędziami. Wyobraźnia zapełniona obrazem kudłatego Misia wzdrygała się na widok niezliczonych furczących nad nami jarząbków. W czasie takiego myśliwskiego marzenia pada strzał — to do odyńca chybiono, poczem przeniósł się on w miot gąszczów, poprzerzynany głębokiemi debrami Jak gdyby szukał śmierci i był zniechęcony do życia, pomimo zbliżającej się rozkosznej pory hukania śród licznych samur, wychodzi ponownie na dwóch myśliwych i śród świszczących kul wynosi się bez szwanku, widocznie przeznaczony jeszcze na inne walki i niebezpieczeństwa. Niebawem śród gęstych strzałów do jarząbków i drobnej zwierzyny wychodzi wolnym krokiem, majestatycznie, z podniesionemi czubem i szczeciną na grzbiecie sędziwy odyniec na naszego Prezesa, który go osadza, złamawszy mu kość pacierzową. Nie było niedźwiedzi, ruszamy do kniei, w której przed kilku dniami spolowano trzy mioty, pozostawał czwarty z gęstym zarostem świerczyny, gonimy go pełni wzruszeń, lecz i tu nie oblęgli pożądani górniacy. Dozorca się zaklina, że znalazł wczorajsze ślady, i że niedźwiedź w tym rewirze oblęgnąć musiał, a zatem musi leżeć w kilkoletnim zapuście z wysokiemi trawami i parowami. Gonimy miot w końcu Października, i o pośmiewisko, wylatuje chruściel (derkacz), jedyny mieszkaniec tego gęsto zarośniętego miotu. Nastrój nasz był poważny, kule w lufach, w wyobraźni postacie dzików i niedźwiedzi, więc ten chruściel był naigrawaniem losu, istną karykaturą, nader nas drażniącą postacią. Otrząsłszy się z niemiłego wrażenia, polujemy w miocie już opolowanym, drugi mój sąsiad zabija jarząbka, kilka strzałów pada do słonek, naganiacze zbliżają się do nas i poczynają piekielną wrzawę, narażającą serce myśliwego na wyskoczenie, i ten sam mój towarzysz strzela kulą do niedźwiedzia. po strzale niedźwiedź się zwraca, usiłuje się przebić, lecz chłopcy z średniowieczną odwagą i nadludzkiem wysileniem zwartym łańcuchem pędzą Misia na skrzydło i tam padają jeszcze dwa strzały. — Oczywiście wszyscy trafili, miał ryknąć niedźwiedź, co zawsze czyni, gdy jest postrzelony, więc rozogniona młodzież napiera się pogoni za nim. — Nie mogłem pod noc dozwolić, bo zwierz ten z łagodnem wejrzeniem i pieszczotliwymi ruchami raniony staje się groźnym i zawziętym, i rzadko kiedy chybi swą ofiarę. Wiedząc, że droga jego wiedzie w góry, nakazujemy spiesznie zabiegać naszym szybkonożnym chłopaczkom, a sami przecinamy mu

odwrot. Jakież było nasze zdumienie, gdy zachodząc widzimy drugiego niedźwiedzia spuszczającego się z gór, oczywiście na żołędziową biesiadę i wchodzącego do zaskoczonego miotu. O św. Hubercie i Diano, nie opuszczajcie wiernych i wytrwałych waszych żołnierzy w tej uroczystej chwili, gdy dwa tak dawno poszukiwane niedźwiedzie jakby czarem spędzone są do jednego miotu nieobszernego gąszczu. Czy łaskawi czytelnicy wyobraźnią zespolą się z nami, zajrzą do wnętrza drgających organizmów, ocenią wrażenia, obejmą myślą nasze gorączkowe oczekiwania i staną z nami na stanowiskach, dziś jeszcze w pamięci naszej wrytych. Słońce na podgórzu układa się do snu wcześniej niż na płaszczyźnie, z tęsknotą za niem wzrok błądził, gdy stanęło nad grzbietami pasma gór, zabłysło nam na pożegnanie, poczęło się spuszczać za połoninami i wysłało ku nam ciemną krepę żałoby, jako zwiastuna złego. — Niestety nie mając władzy Jozuego, z niewymowną boleścią, z troską w duszy, z niepokojem w umyśle patrzałem na ten zapadający zmrok jakby na przekleństwo. Wtem gon się rozpoczął, każdy z nas wyjął z duszy okulary, aby wzrokiem przebić ciemny gąszcz i naznaczyć miejsca do strzelania. Ciszę grobową przerywa strzał, słychać było mruknięcie niedźwiedzia, czy ze złości, czy z bolu, trudno odgadnąć. Z ciemnicy świerkowej wychyla się postać czarna na kilka kroków od tego samego myśliwego, który w poprzednim miocie strzelał do Misia. Ledwie minęło kilka chwil oczekiwania. ołowianego ciężaru, gdy ponownie słyszymy strzał, po nim trzy, ryk niedźwiedzia i przesuwającą się czarną masę przez drogę. Cóż się stało? Oto mój najdawniejszy towarzysz i wytrawny myśliwy miał przed sobą niedźwiedzia na ośm kroków, z odkrytą komorą i nie strzelił, gdyż się bał trafić sąsiada, stojącego o 70 kroków. Zbyteczna ostrożność, chwilowe omamienie, nieszczęśliwa myśl, niepraktyczność w pojęciu strzału, gdyż na taką odległość kula zawsze trafi w ziemię, czy koło zwierza czy przez jego ciało przeleci. O tchórzostwo posądzać go nie można, wszak staczaliśmy oba nieraz niepospolite walki z rozżartymi odyńcami w obec rozjuszonych psów, a zawsze odwaga i przytomność nieopuszczała mego towarzysza, więc sobie ina czej tłómaczyć nie mogę tego dla nas nader przykrego epizodu, jak nieszczęśliwą myślą, która nam tak często w życiu mąci szczęście. Zeszli się myśliwi z usposobieniem jakby po wygranej bitwie, byli pewni, że leżą oba niedźwiedzie, jeden w gąszczu padł trupem na miejscu, drugi ryczący, przebiegający drogę, ułożył się do snu wiecznego w głębokiej debrze miotu, do którego wskoczył. Trupów nie można było szukać śród nocy, więc nazajutrz rozdzielili się myśliwi, jak to teraz w modzie secesya, na dwie grupy, jedni bez wyrzutów sumienia myśliwskiego pojechali strzelać do ptaków i drobnej zwierzyny, drudzy zachmurzeni lub ożywieni nadzieją ruszyli w celu odszukania pożądanych trupów niedźwiedzich. Rozpoczęto naturalnie naprzód tropienie niedźwiedzia mruczącego po strzale, miał on bowiem z dymem skozłować. Przeszukano bezskutecznie cztery mioty, poczem udano się za drugim ryczącym po strzale, a w wyobraźni widzianym w debrze bez życia. Wieczorem zjechały się oba towarzystwa, ale czarnych trupów nie przywieziono, a co przykrzejsze i boleśniejsze, nawet śladu farby nie znaleziono. Wyznaczono nader znaczne nadgrody pieniężne, rozesłano myśliwych, dozorców i wprawnych górników, lecz do chwili obecnej nie ma żadnej wiadomości Jeden mruczał, drugi ryczał, ale oba poszli prawdopodobnie czyścić gawry i przysposobić sobie zimowe leże. Łaskawi czytelnicy! Opisałem wam nagie i nader poniżające zdarzenie z pokorą i szczerością. Wy również jak Lisowczycy służycie pod jedną chorągwią, tworzycie z nami poważny zastęp kapłanów Diany, wy nie odmówicie nam współczucia, rzucicie szczerą łzę z myśliwskiej duszy ku tym, którym Wolny strzelec zaczarował lufy w tym dniu pamiętnym, w którym św. Hubert otworzył swój zwierzyniec, i wypędził na nas to, co miał najcenniejszego i dla nas najponętniejszego. My dyskretni i delikatni ani słowem, ani myślą przyczyniać się nie będziemy do jątrzenia świeżych cierpień niefortunnych niedźwiedzich pogromców.

Minął rok wyjątkowego i niepamiętnego ciągu słonek. Pojedyncze pojawiały się około św. Michała. W pierwszych dniach Października nadleciały dwa stadka, po kilkanaście w każdem, które wystrzelałem. Do 17 Października już nie otrzymałem żadnego raportu o przylocie wielce i zawsze pożądanych ptaków. W dniu 27 t. m począł padać deszcz śród mgły, przeplatany płatkami mokrego śniegu. Wilgoć ta czepiała się gałęzi, konarów i latorośli, tworzyła lodowatą powłokę, grubiejącą do tych rozmiarów, że się gałęzie łamały, a gdy wiatr począł dzwonić temi bryłami lodu, padały grube konary na ziemię, a staropniowe drzewa obalały się lub przez połowę były strzaskane. Najsrożej nawidzony został dąb, jeszcze liściem okryty, niemogąc znieść olbrzymiego ciężaru pozawieszanych lodów, walił się jeden po drugim, przez przyrodę jakby na zrębie ścinany. Nieobliczone wynikły szkody. Krocie leśnych inwalidów, drzewa bez wierzchołków, a na zapustach nasienniki pozostałe istnymi stały się kalekami Sądny dzień dla drzewa i dla zwierzyny! Zima zawitała i nastąpić ma bolesne pożegnanie z długodzióbami. Dnia 24 Października dają mi znać, że słonki nadleciały, przez sześć dni z każdego lasu donosili kuryery, że pojawiła się nieskończona liczba tych ptaków. Takiemu nawałowi ze wszech stron nie mogli podołać myśliwi, i znaczna liczba odleciała niestrzelana. Niepospolicie mnogi był to ciąg, kiedy w trzy strzelby, w sześciu dniach podniesiono 103 słonek. W jednym rewirze strzelano do małych słonek, według mego zdania pochodzących z wysokiej północy, o których przed trzema laty na wiosnę w „Łowcu“ pisałem, w innych zaś lasach nie było ich. Te stada czyli raczej hurmy bawiły przy wschodnim wietrze do 1 Listopada, a gdy powiał zachodni wiatr, wszystkie spiesznym ciągiem w jednej nocy podążyły za Bałkan. Zwracam uwagę na to zdarzenie, gdyż powietrze było ciepłe, ćmy i motyle latały, żuki w łajnach świdrowały, glisty ziemię pruły, roje były owadów w powietrzu, pełno ślimaków na liściach. Więc nie głód, nie zimno wypędziły słonki, lecz potrwożone przeciągłym, bez przerwy trwającym wschodnim wiatrem, skorzystały jakby okręta w przystani, z pierwszego zachodniego wiatru, by spiesznie i szczęśliwie odbyć podróż i nie narazić się powtórnie na zaporę wietrzną. Jaki między słonkami był popłoch, dowodzi ciąg ich w biały dzień, zapadanie po rolach i pojedyńczych krzakach, a jakież było ich znużenie!

W czasie tej rozkosznej rozrywki, bawiłem w Lisowicach i popełniłem wielki błąd myśliwski, trapiący mnie do dnia dzisiejszego. Od 18 do 24 Października szalały burze i dokuczliwe zimne wichry, a ja szukałem słonek po krzakach, z których je wiatr do zwartych lasów wypędził, w skutku znużenie nasze było ogromne, przeziębnięcie dotkliwe, zdobycze zaś zredukowały się do zera. Wykrywszy słonki w znacznej liczbie w lasach, poczęliśmy na nie polować, ale to polowanie było istną karykaturą, mioty bowiem rozlegają się tam na 50 do 60 morgów, a w nich 30 malców błąka się i wrzeszczy *tire-haut* lub *kura*, na strzelców ptaki nie wylatują, gdyż chłopiec od chłopca idzie na 50 kroków odległości, więc słonka zapada, i

spokojnie z pod krzaka lub paproci patrzy na przechodzącą nagankę, nie ruszając się z miejsca, słonki zaś ciągnące do drugiego miotu lecą ponad wysokie drzewa, nieprzystępne prawie dla drobnego śrótu. W tych obszernych miotach polowanie na słonki jest pracą Danaidów, a dla myśliwych cierpieniem Tantala! Rewiry Lisowickie dają pokusy, niedookreślenia piórem, nie do objęcia wyobraźnią. Kto prawdziwym myśliwym, ten oceni tę różnorodną zwierzynę, ten rozkoszować będzie w nieskończonych niespodziankach, i z pewnością objawi przekonanie, że w innych lasach tej rozkoszy nie dozna. — W Październiku zchodzą niedźwiedzie na orzechy, kwaśnice i żołędzie ku niższym lasom; ryś towarzyszy sarnom łaknący bezbronnych sarniątek; żbik korzysta z ciągu ptaków, a przytem nie pogardzi zajączkiem, a nawet młodą sarneczką, o czem się naocznie przekonałem; dziki w znacznej liczbie wydobywają resztki pożywienia z pola, a ukrywają się w gęstwinach; lis i zając błąkają się przed naganiaczami; cietrzew ciągnie ponad drzewa; jarząbki furczą nad głowami w każdym miocie, a słonka swym sowim lotem ubarwia polowanie. Istotnie dwie lufki wystarczyć nie mogą, ani zaspokoić sumienia myśliwskiego. Bez kuli stać nie pozwala zasada, gruby śrót potrzebny, ale często okrąża on ptaka nie trafiając, więc pokusa jest zawsze włożenia do lufy ładunku z drobnym śrótem, nieustannie ręka świerzbi, ścierają się z sobą zasady, a rozogniona wyobraźnia w gorączkowem wyczekiwaniu wysuwa z pod każdego krzaka innego zwierza.

Kończąc tę długą korespondencyę zwracam uwagę kolegów na liczne mylniki *(Kümmerer)*, pojawiające się w tym roku. Sam ich widziałem kilkanaście z dziwacznymi rogami, a na trzech polowaniach ubiłem pięć z prześlicznymi rożkami. Jestto więc rok nader korzystny dla zbiorów, i warto się postarać o te cenne wyrodki, zdobiące myśliwskie pokoje. To zjawisko wyjątkowe tłómaczę sobie chorobliwym stanem sarn w mokrym roku ubiegłym, w którym wiele sarn na motylicę zginęło, a nader znaczna część osłabiona była blednicą. Tylko solnice i sucha karma ratowały od śmierci. Osłabione i bezkrwiste organizmy nie zdołały wypędzić dorodnych rogów.

MOSIĘŻNE ŁADUNKI ŚRÓTOWE

OPISAŁ

Ludwik Weeber.

Przypominając łaskawym czytelnikom „Łowca“ dawniej już objawione przekonanie, iż wobec dzisiejszych postępów w rusznikarstwie życzyćby sobie należało równego udoskonalenia fabrykacyi nabojów, wypada nam dziś zwrócić uwagę na najnowsze w tym kierunku zdobycze przemysłu, do jakich wyrób metalowych nabojów zaliczamy. One to wyzwoliły broń odtylcową od wielu odstręczających niedogodności, mianowicie od bezwarunkowej zależności amunicyi myśliwskiej od wpływów atmosferycznych czyli wilgoci tak pokojowej, jak wolnego powietrza, które rozszerzając łuski papierowe czyniła je w użyciu nader niedogodnemi. Nieraz też myśliwy, mieszkaniec zwłaszcza miejscowości od handlu odległej, z żalem spostrzegł nagle wyczerpany do szczętu zapas nabojów. Dziś łuski metalowe usunęły obie te niedogodności. Myśliwy zaopatrzony w 50 sztuk ładunków metalowych może się wybrać nawet na pińskie błota, a z zapasem 100 ładunków odbędzie całą kampanię, choćby do Syryi, a ile przytem uniknie ambarasów transportowych i cłowych, na jakie bywa narażony przy przesyłkach całych pak ładunków, niech doświadczeni w tym względzie orzekną. Ileżto razy zdarzy się myśliwemu doznać losu rybaka, wpadać w wodę po uszy z pełną ładownicą, a wtedy przypomina mu się przysłowie: „suchy rybak, mokry strzelec — diabła wart“. Naboje metalowe nie narażone wcale na taką *vox populi*, bo zewnętrzny przybitek z korka, impregnowanego tłuszczem, nie dopuszcza wilgoci, a strzał równie pewny po mimowolnej kąpieli jak podczas największej ulewy. Jedyną niedogodnością takich nabojów był znaczniejszy ich ciężar, jak papierowych, lecz i tu przechyla się szala na stronę pierwszych, t. j. metalowych, bo coraz więcej używane naboje papierowe angielskie „Elej“ są w istocie cięższymi od metalowych Piperowskich, Lorenza zaś naboje lekkie (leichte Patrone) i naboje pochewkowe (Mantel-patrone *)) równoważą się swym ciężarem z nabojami papierowymi, a w użyciu są przyjemniejsze, i wytrzymują 50, nieco zaś cięższe Lorenza przeszło 200 załstrów.

Oto postęp, który ostatecznie wyrugować może broń skałkową i kapslową z najdalszych zakątków kuli ziemskiej, bo znikła obawa, by kiedykolwiek broń ognista w ręku myśliwego z powodu wyczerpania nabojów stała się martwą i nieużyteczną. Przystępując do bliższego rozpatrzenia przedmiotu, wypada naprzód wspomnieć o dawniejszym wyrobie stalowych nabojów sprężynowych. Miały one oprócz znacznego ciężaru jeszcze inne niedostatki, jakoto: 1. bardzo szybkie rdzewienie z uszczerbkiem szczelności zatworu; 2. nadwerężenie czyli rozszerzanie gniazda nabojowego, nieuniknione przy twardości materyału i częstej aplikacyi; 3. znaczne zanieczyszczanie gniazda nabojowego jakoteż *płyty zaporowej*, spowodowane uchodzeniem gazu, bo nawet w stanie wcale niezużytym cylinder ich trwale nie spojony, lecz tylko z brzegami do siebie przylegającymi, czynił *zatwor* (obturation) niedostatecznym, a *osad* (crachement) dosyć znacznym. Oto dwa szkopuły wszystkich systemów broni odtylcowej. Wszystkie te ujemności udało się szczęśliwie usunąć najnowszą konstrukcyą nabojów mosiężnych, które przez swą elastyczność dają zatwór niczem dotąd nieprześcigniony, pod względem zaś szybszego zapału swą szeroką kapslą i podwójnym przewodem jej iskry wykazują postęp istotny, a dla ekonomii oczywiste korzyści. Nabój mosiężny utworzony jest z jednego kawałka blachy prasowanej czyli stancowanej, dno ma nieco masywniejsze z tejże samej blachy około 2 mm. grube, u otworu jest cieńszy, jak u dołu przy zapale, ma więc cokolwiek koniczne, ku otworowi rozszerzające się wnętrze. Co do różnicy konstrukcyi Lefaucheux i Lankaster podnieść należy, że znaczny ciężar pierwotnych nabojów mosiężnych Uttendorfera spowodowany nieuniknioną

*) Mantelpatrone jest cieniutka łuska, wsunięta w elastyczną pochwę mosiężną, obie te łuski stanowią zwykłą grubość naboju papierowego. Pochwa wsunięta w gniazdo lufy wypełnia karb wewnętrzny, a wyjęta daje możność użycia naboju papierowego.

na pozór grubością nabojów Lefaucheux dla przepuszczenia sztyfta zapałowego, usunęła fabryka Gevelot w Paryżu w tak misterny sposób, iż i ten rodzaj nabojów sprostał ciężarem swoim papierowym rówiennikom fabryki Elej. Mają one jeszcze tę ulepszoną zaletę, iż są niklowane, opierają się więc dzielnie zaśniecieniu i niszczeniu przez gazy. Jako dalszą niedogodność nabojów metalowych Lefaucheux wymienić należy trudność wydobywania sztyftów przy rekonstrukcyi, zaśniecenie bowiem jest powodem częstego urywania się sztyftów, które powinne wcale lekko wchodzić, więc najlepiej na razie je nieco opiłować. Ujemności te odpadają same przez się przy nabojach Lankastra, a natomiast występują prócz ulepszeń w systemie inne właściwe tej konstrukcyi korzyści. Zapał u nabojów Lankastra urządzony bywa w sposób dwojaki. Jedne mają wygięcie wklęsłe na kapslę tak osadzone, iż wystający w tem wydrążeniu półokrągły czopek służy za oparcie kapsli pod naciskiem uderzającego w nią sztyfta zapałowego, i kapsle ich obchodzą się już bez tak zwanej *duszy*, jak to rysunek (fig. *A.*) wskazuje. Drugie mają takież same jak papierowe urządzenie z tą tylko różnicą, że dusza ich opatrzona jest zawsze wystającym ogonkiem, ułatwiającym wytknięcie wypalonych kapsli (fig. *B*). Kapsla pierwszej wklęsło wypukłej konstrukcyi jest znacznie szerszą od dawniejszej, a przytem płaską, ma około 6 mm. w przecięciu, a 2 mm. wysokości, spłonka jej udziela

Fig. *A.*

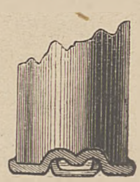
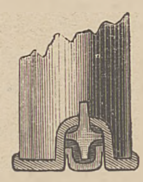


Fig. *B.*



się zatem nabojowi prochu nie jak dotąd jednym, lecz dwoma drobnymi otworami. Nakładanie tych kapsli jest bardzo łatwe, należy je tylko silnie wepchnąć w otwór za pomocą jakiej rączki drewnianej. Cokolwiek trudniejsze jest wydobywanie spalonych kapsli, do którego służą tak zwane trzyramienne obcęgi, przyrząd bardzo łatwy i pewny w użyciu, ale można się obejść bez niego, używając na ten cel szydła płasko zaostrzonego, które wetknięte w wklęsłość, pozostałą po uderzeniu sztyfta, wydobywa kapslę. Taką konstrukcyę mają zwykle naboje mosiężne Lorenza, nieco cięższe. Wszystkie inne tej samej cechy naboje jak *leichte Patrone, Mantelpatrone*, Piperowskie w Liège (potrzebujące obcięcia, bo są o 3 mm. dłuższe od innych) i Gevelotowskie w Paryżu, mają kapsle małe z jednym otworem tak jak papierowe.

Zalety nabojów metalowych są prócz wyżej wymienionych, z natury materyału wypływających, następujące: 1. Szczelność zatworu, bo gaz nietylko nie wsiąka w gąbkowaty materyał dotychczasowych nabojów, ale nadto nietylko samą skówką nabojową, jak szczególnie w Teschnerowskich nabojach i innych, ale całą swą objętością stanowi *zatwor* doskonały, a *osad* bardzo mały. 2. Ulepszony zapał tak przez zastosowanie dwóch otworów zapałowych, jak niemniej przez kapslę odpowiednią, która znaczniejszą swą powierzchnią i miększym materyałem wzmacnia działalność sztyfta i znosi zawody. 3. Lekkość nadzwyczajna, jakto przy nabojach Piperowskich, Gevelota i innych nadmieniono. 4. Większa jak u papierowych ostrość strzału, spowodowana usunięciem wewnętrznego karbu gniazdowego, który dla nabojów metalowych jest wcale niepotrzebny. 5. Wytrwałość na wszelką wilgoć, przyczem pęcnienie łusek i urywanie się częste przy nacisku ekstraktora zupełnie usunięte. 6. Jedyna możliwość użycia grubych korków jako przybitków na proch i na śrót. Najlepszy dowód szczelności takiego przybitka, niczem dotąd nieprześcignionej, daje silny odgłos przy wydobywaniu go tirbuszonem, niemniej też jest cennym z powodu swej zmniejszającej trącanie elastyczności, a czego oryginalne angielskie, najrozmaiciej impregnowane filce i fetpfropfeny *) niedokażą, tego dokona lada sklepik Kulikowski. 7. Nabój nie potrzebuje być u góry zawijany lub żłobkowany u otworu (cannelirt) za pomocą osobnej maszyny, bo jedna szósta lub siódma cząstka zwykłego butelkowego korka (byle niekoniecznego) z pomocą znanego lejka drewnianego, stanowi hermetyczne i bardzo silne zatkanie śrótu. 8. Wielka stosunkowo taniość tego wyrobu. Nabój grubszy z fabryki Lorenza w Carlsruhe wypada z cłem i przywozem po 10 ct, a Piperowski i inne po 6 cnt.

W celu dalszego używania nabojów metalowych, należy je wymyć w letniej wodzie, najlepiej w deszczówce, lub też wyskrobać z nich nagromadzoną sadzę. Każdy kaliber tych nabojów ma osobne dwa numera, do kuli krótsze, i do śrutu dłuższe. Ja tu mówię tylko o śrótowych.

Ostatecznie podajemy adresy znanych firm fabrycznych, mianowicie: H. Pieper, armurier mecanique à Liège, reprezentantów fabryki Lorenza w Carlsruhe, Gevelot w Paryżu,— Walbinger & Meuschel w Norymberdze.

---

*) Fetpfropfeny impregnowane tylko po brzegach, parują znacznie i wymagają koniecznie podkładki ceratowej, gdy jedna trzecia część uciętego równo korka, którego przedtem ciepłym napojono tłuszczem, daje przy pomocy znanego lejka drewnianego przybitek *non plus ultra* pod względem swej prostoty, a najlepszego skutku. Jedna szósta albo siódma cząstka tego korka służy jako przybitek na śrót

NORNIKI

PRZEZ

Alexandra Ucysza.

(Ciąg dalszy).

Policzyli więc borsuka w poczet zwierząt łasicowatych chyba dla kształtów nieco podobnych, zwłaszcza co do długości korpusu, do kun, soboli, tchórzów, wydr i łasic. Z tego zapewne powodu kazali gromadzić borsukowi zapasy zimowe, iż zwierzęta łasicowate nie tylko w Europie, ale nawet w krajach podbiegunowych, nie zasypiając snem zimowym, twardym, pokarmu potrzebują. Ileż to baśni do dzisiaj krąży o borsuku nawet między ludźmi wykształconymi, i dziwić się nie można, bo znajdują owe fałsze w książkach piętnem naukowem naznaczonych. Jak mógł Haur podzielić borsuka na dwa gatunki, jeden podobny do psa, drugi do świni. Zapewne borsuka sam nigdy nie widział, a spisywał głoszone między ludem baśnie o nim. Lenz każe borsukowi żywić się marchwią, rzepą i burakami, które podrzuca zamkniętemu w klatce, ale

ten nie przywykły do takiego pokarmu, zadowala się wężem i odrobiną wody. Bachmann twierdzi, że borsuk w stanie dzikim żywi się jarzynami, korzonkami na wzór dawnych ascetów. Czemuż nasz znakomity Pietruski nie uwierzył tym bredniom — bo opierał twierdzenia swe na własnem, naocznem badaniu i doświadczeniu. Co Bachman dostrzegał na swoim Kasprze, borsuku samicy, może się zdarzyć u przyswojonych borsuków, u których popędy przyrodzone uległy zmianie, lecz nigdy w stanie dzikim. Wiadomo, że niewola, zwłaszcza od młodości, zmienia nawet u najdzikszych zwierząt usposobienie pierwotne do tego stopnia, iż spożywają pokarmy sprzeczne z ich naturą. To tylko jest dowodem, do czego doprowadza konieczność twarda — głód. W pewnej nędznej mieścinie węgierskiej gościła menażerya, w której właściciel jej z powodu nader szczupłych dochodów był zmuszony żywić roślinnym pokarmem niedźwiedzia, kilka wilków i dwa dzikie psy amerykańskie. które oswoiwszy się z tym żerem wcale dobrze wyglądały. Nie udało się jednak takie żywienie u zwierząt z rodzaju kotów, ani lew, ani tygrys, ani lampart, lubo zrodzone w klatce i dosyć oswojone, mimo srogiego głodu, nie tknęły podrzuconego im chleba i poginęły. Najdziksze zwierzęta, najbardziej unikające człowieka raczej rzucą się w celu zaspokojenia głodu na siedziby ludzkie, i tam pochwycą jakie zwierzę domowe, a nie tkną żeru roślinnego. Niedźwiedź wprawdzie żywi się owsem, lecz on tylko wysysa zeń słodycz, a czyni to jako smakosz i nie wtedy, gdy mu głód srodze dokucza. Na polankach górskich owies w Czerwcu zasiany często w połowie Października jeszcze zielony, a czasem go śnieg przysypie, nim dojrzeje. Tam to nieraz Mysio w biały dzień siedząc na tylnych łapach przedniemi całe snopy jego zgartuje i ssie mleczko. Tym sposobem wyrządzają niedźwiedzie w górach ogromne szkody.

Porównując jeża z borsukiem, których obu policzyćby można do jednej klasy „norników“, albowiem trybem życia zupełnie, a kształtem cokolwiek są do siebie podobne, wypada mi wspomnieć o krecie, należy on bowiem także do zwierząt pod ziemią żyjących tak, iż tylko nocą na powierzchnię jej wychodzi na żer, składający się z płazów lub owadów. Mniemanie, jakoby wyszedłszy z głębi ziemi, natychmiast ginął, jest bezzasadnem, owszem szuka on na niej świerszczów, koników, szarańczy, wszelkiego rodzaju robactwo zaś wygrzebuje z ziemi, śledząc je ostrym swym węchem dosyć głęboko. — W dzień żeruje pod ziemią, bo organizm jego świeżego powietrza, drobniutkie oczy blasku słonecznego znosić nie mogą, a także podczas długotrwałej suszy, gdy powierzchnia ziemi częstokroć na stopę tworzy dla wszelkiego rodzaju płazów nie do przebycia zaporę, pozbawioną wszelkiej wilgoci, lecz gdy deszcz zwilży ziemię, wówczas wszystko w ruchu, i kret też poluje, nurtując pod ziemią aż do jej powierzchni, i wyrzuca sobą kopiec spulchnionej ziemi tak zwane kretowisko. Zestawiwszy analogię jeża i kreta, i wskazując ich znaczne podobieństwo do borsuka, słusznie zapytać mogę, ażali nie mam prawa policzyć wszystkich tych zwierząt do jednej, odrębnej klasy „norników?“ Z wyjątkiem niektórych zwierząt do klasy gryzoniów przydzielonych, nieposiada Europa innych zwierząt mięsożernych, mogących być policzonemi do tej klasy. Do jakiejże należy niedźwiedź? zapyta czytelnik. Ja bym sądził, iż tworzy on odrębną, bez pokrewieństwa z inną, klasę *stopowców*. Stopy jego odróżniają go tak bardzo od wszystkich obecnie w Europie żyjących mięsożernych zwierząt, a niemniej od borsuka, jeża i kreta, iż w żaden sposób do jednej klasy z powyższemi zwierzętami według mego zdania zaliczony być nie może. W tym celu niech mi wolno będzie pobieżnym opisem niedźwiedzia stwierdzić tę zupełną różność jego od owych zwierząt. Wszystkie gatunki niedźwiedzi, nawet biały polarny, szczególnie budową nóg od wszystkich innych zwierząt się wyróżniają. Kształt przednich łap dozwala jakoby rękami chwytania łupu lub innego przedmiotu, co więcej drapania się na drzewa. Na ten cel służą pozornie tylko olbrzymie i ostre pazury, ale bliżej przypatrzywszy się tym łapom widzimy, że palce ich, każdy z osobna trzy zgięcia czyli *sustawy* posiadające, głównym są warunkiem tych ruchów, dając możność ujęcia niemi cieńszych przedmiotów jakoby dłonią, ztąd nazwali niektórzy przyrodnicy niedźwiedzia *małpą północy*. Tylne łapy równie w całym świecie zwierzęcym nie mają sobie podobnych, kształt ich bowiem dolny najwyraźniej tworzy stopy, które obielone czyli odarte ze skóry łudzące do stóp ludzkich mają podobieństwo. Stopami temi wyróżniając się od wszystkich ssawców Europy, zbliża się chyba do małp, a szczególniej do największej tego rodu, oraz najdzikszej i najsroższej, brazylijskiego gorylla. Wszystkie rodzaje małp jakoteż niedźwiedź mając stopy u tylnych łap, znacznie dłuższych od przednich, odróżniają się tem jeszcze od reszty zwierząt, iż bieżą nie truchtem, lecz tak jak zając lub kanguru podskakując. Odrębny kształt tylnych łap dozwala im wznosić się w górę na nich, a budowa kości pacierzowej, z dużych i wielką ilością mlecza wypełnionych, a odmiennie od wszelkiego rodzaju ssawców z nadzwyczaj silnych i mnogich z sobą połączonych kręgów się składając nadaje im ową siłę ogromną, która stała się przysłowiem, i podziwiamy ją w niedźwiedziu, ale stokroć bardziej w małpie małych kształtów, która często dźwiga i unosi z łatwością przedmiot czterykroć przenoszący wielkością jej postać. Takie ukształtowanie przednich i tylnych łap dozwala małpom i niedźwiedziom osobliwie mniejszemu gatunkowi tak zwanym bartnikom, zręcznie i łatwo wspinać się na wysokie i od pnia nie bardzo gałęziste drzewa, jak sosny, jodły i świerki, szukając ochrony w obec napaści wilków lub psów myśliwskich, albo też wybrania miodu w dziuple u samego szczytu, młodego ptactwa z gniazda, kun i wiewiórek, które ze smakiem pożera. Tego daru łażenia po drzewach odmówiła natura zupełnie borsukowi. Niemiecki naturalista Bischofshausen twierdzi, że borsuki spiąwszy się na pnie drzew ściągały z nich owady, a musiał on bardzo z bliska przypatrywać się tym niezwykłym u borsuka egzercycyom, kiedy zdołał dopatrzyć, iż były to małe, bezskorupne ślimaki. Czegóż to chciwy oryginalności badacz w naturze nie dopatrzy? Ja mogę zapewnić, że podobne twierdzenie jest najwierutniejszym fałszem, budowa bowiem sama borsuka zaprzecza takiemu podaniu, mała jego i podłużna głowa z bardzo grubym i sztywnym karkiem z trudnością w górę i na bok się zwraca, nadto ciężki i niezgrabny borsuk, by mógł stojąc na tylnych łapach oparty na przednich, ryjem zbierać u góry owady — absolutnie to niemożliwe. Ów sztywny kark jest natomiast skarbem dla niego w ryciu ziemi z powodu siły, jaka właśnie z braku giętkości wynika, a potrzebna mu taka siła w żerowaniu, w wydobywaniu owadów na kilka cali w ziemi ukrytych, i to nie przedniemi łapami, lecz ryjem. Opisałem niektóre zwierzęta do rzędu łasicowatych należące, zwrócę jeszcze uwagę na niedźwiedzia, który swoim snem zimowym równie jak borsuk, w błąd wprowadził niektórych przyrodników nie badających rzeczy głębiej, iż go razem z borsukiem do jednego policzyli rodzaju najniesłuszniej, bo nawet ów sen zimowy bardzo u nich jest odmiennym, i nie może stanowić kriterium pokrewieństwa, bo wreszcie nawet niektóre gryzonie zapadają

w sen zimowy, a jednak nikomu się nie marzy zaliczyć ich do jednej klasy wraz z niedźwiedziem i borsukiem. Borsuk, jak już wyżej wspomniałem, żeruje tylko w nocy. Wszelkie spostrzeżenia czynione na tem zwierzęciu czyli raczej w ogóle na zwierzętach w niewoli trzymanych lub oswojonych, nie dają prawdziwej charakterystyki, wiadomo bowiem, że wszystkie zwierzęta dzikie bez wyjątku w niewoli zmieniają tryb życia, gdy je ujęto w wieku póżniejszym, prawie zupełnie zaś, kiedy wybrano je z gniazd, gdy one nie wyssały z mlekiem matki przyrodzonych temu rodowi przymiotów, nie uczą się od rodziców samodzielnego sposobu żerowania. Nawet wzrost i barwa włosa są odmienne, nie można przeto z takich zwierząt stałego sądu o całym ich rodzaju wydawać. W celu dosadniejszego odróżnienia niedźwiedzia od borsuka, rzucę kilka uwag odnoszących się do wewnętrznego ustroju, do odrębnych właściwości charakteru, oraz do życia domowego borsuka. Wewnętrzny ustrój borsuka w niczem się nie różni od reszty ssawców mięsożernych. Właściwość zasypiania snem zimowym i długiego obywania się bez pokarmu i napoju wcale nie stanowi jakiejś różnicy w ukształtowaniu żołądka lub w krążeniu krwi, polega ona raczej na pewnem perjodycznem otrętwieniu wszystkich nerwów. W stopniu o wiele mniejszym dzieje się toż samo u każdego zwierzęcia podczas snu zwykłego, gdy wszelkie władze zmysłowe, u ludzi i umysłowe, zapadają w podobne otrętwienie, i tym sposobem siły swe, czynnością na jawie osłabione, wzmacniają. Nerwy w ogóle u wszystkich istot żyjących nimi obdarzonych są sobie podobne, co do wrażliwości wszakże i działalności wyróżniają się u każdego ze zwierząt indiwidualnie. Nie ma w tym względzie dwóch istot zupełnie do siebie podobnych. Jak już wyżej nadmieniłem, przyczyny zasypiania snem zimowym należy tylko szukać w ustroju nerwów, które u niektórych gryzoniów, równie też u niedźwiedzi, kretów, jeży, wreszcie u borsuka pod względem wrażliwości mocno od reszty zwierząt się wyróżniają ulegając do tego stopnia otrętwieniu, iż sprawiają sen twardy, raczej letarg w porze zimowej. Zaiste podziwiać należy przezorność przyrody! Gdy ona sama przy zbliżaniu się zimy z jej mrozami i śnieżnicami do snu pokrzepiającego się układa, kiedy życie zaumiera w świecie roślinnym, a po części i w zwierzęcym, gdy wszelkie płazy i owady znikają z powierzchni ziemi; czemżeż wtedy przyroda żywiłaby zwierzęta, których przeznaczeniem tępić do pewnego stopnia płazy, owady lub zwierzęta aczkolwiek małe, to jednak olbrzymie liczbą, olbrzymią też wyrządzić mogące szkodę, gdyby właśnie zwierzęta jak jeż, kret, borsuk tamy temu spustoszeniu nie kładły. Nie mają więc one w zimie racyi bytu, więc zasypiają, aby gdy się wszystko do nowego życia obudza, i owe zwierzęta z pokrzepionemi siłami odpowiednio wytkniętemu dla nich celowi działać mogły. W miesiącu Listopadzie, gdy on w pierwszych już zwykle dniach wystąpi w swojej białej szacie zimowej, borsuk instynktem wiedziony, doświadczeniem nauczony, że w chwili zamarznięcia ziemi i powleczenia się jej śniegiem już żeru nie znajdzie, bo wszelkie owady i płazy, przeczuwając ową katastrofę, już się w głąb ziemi zaryły, wiedząc też, iż później lubo wprawny i silny grabarz, twardej jak kamień, zamarzłej ziemi nie przebije, dobrze już wtedy sadlisty i ciężki, zalęga stale w norze, wcale już z niej nie wychodzi, lecz nie zasypia jeszcze snem letargicznym, bo budzi się chwilami w celu wypróżnienia żołądka z nagromadzonego w jelitach żeru, który gdyby choć w drobnej cząstce pozostał, stałby się dlań zabójczym podczas snu twardego, bo przy zupełnej bezwładności zwierzęcia nie mogąc być wydzielonym, zakaziłby organizm i stał się powodem śmierci. Twierdzenie to jest pewnikiem fizyologicznym, a ja sam miałem sposobność sprawdzić je. Pewnego razu (roku nie pamiętam) wziąłem udział w polowaniu urządzonem w Osto...., w dawnym obwodzie Żółkiewskim. Psy gończe trafiły lisa, obłożywszy nim niewielką kniej, nagle ucięły na kraju lasu. Byliśmy pewni, że Mekita umknął w pole, lecz inaczej się stało.

(Ciąg dalszy nast.)

KORESPONDENCYE.

17 Listopada 1882 r.

Szanowni bracia w Hubercie. Nie słuchajcie tych, którzy was uczą poznawać rogacze po ruchach albo po szerści, choćby to był stary myśliwy albo nawet profesor zoologii! — Opowiem wam zdarzenie wcale świeże — bo wczorajsze. Było to w majątku A., a jak wiecie, dzień 16 Listopada dał nam prześliczną ponowę. Zebrało się nas kilkunastu w celu zapolowania na dziki, ale czy objeżdżacz nie umiał obciąć, czy może tak wiele było dzików, że nie zdołano tropów rozebrać, dość, że kiedyśmy pierwszy miot wzięli, kazano do wszystkiego strzelać, a na wszelki wypadek mieć jedną lufę kulą nabitą. Nim nagonka ruszyła, już profesor zoologii wypalił do rogacza, potem kapitan strzelał, a gdy nagonka dochodziła, zaczęto strzelać do zajęcy. Wtem z tyłu wypada na profesora odyniec na kilka kroków, on strzela i chybia, dzik go okłada i wychodzi na Sekretarza, dobrego strzelca, który go kulą na wylot przeszywa, ale znać nie dostał w komorę, bo chociaż na obie strony farbował, poszedł przez dwa mioty, i nie wiem, czy go dziś znaleziono. Był to więc śliczny miot, ale nieszczęśliwy, bo wszystko farbowało, a jeden tylko zając zginął. — Drugi miot wzięto ten, do którego staliśmy plecami. Już strzelano do zajęcy i nagonka się zbliżyła, patrzę, idzie na mnie sarna, ale z odbitą prawą przednią nogą przy samej łopatce, za każdym krokiem noga się jej kołysze, jużem się złożył, aby ją dobić, a miałem sztuciec w ręku, ale ona spostrzega mnie i skacze w tył, a ja nie strzeliłem, nie strzelili też dwaj moi sąsiedzi. Sarna przeszła skrzydłem. Po skończonym miocie mówimy o tem leśniczemu, który odpowiada: „Zaraz będziemy wiedzieć, kto do niej strzelał“. Kiedy wszyscy strzelcy się zeszli, rzecze on: „W tym miocie znaleziono rogacza, kto z Panów strzelał?“ — „Ja! ja!“ — odezwały się dwa głosy. — „Jakżeż Panowie strzelali?“ — Wtedy kapitan opowiada, że strzelał za nim, a profesor, że na sztych do stojącego. — „A więc pan profesor zabił sarnę!“ — Nastąpiły protestacye, że sarny wcale w miocie nie było, a że gospodarz był uprzejmy, więc przytłumiono jakoś tę sprawę, i tylko zawziętsi coś sobie pod nosem mruczeli. Następnie wzięto trzeci miot, zabito zająca, chybiono rogacza, przepuszczono jarząbka, i za-

częto się zabierać do śniadania, które było doskonałe, ale za długo trwało, bo bigos jakby na złość myśliwym niechciał się zagrzać mimo ogromnego ognia. Nakoniec o drugiej ruszono do czwartego miotu, który był świetny, bo jeszcze wszyscy strzelcy nie byli rozstawieni, kiedy profesor zabił wykradającego się gąszczem rogacza. Zginęły jeszcze dwa lisy i dwa zające, a trzeci lis farbą swój trop znaczył. Wtedy tryumfujący profesor rzecze: „Widzicie, ja się omylić nie mogę, a jak mnie ładnie poprosicie, to odkryję wam sekret, jak się poznaje rogacza, bo ja tam pod brzuch i na rogi nigdy nie patrzę“— i począł nam wykładać, a my słuchamy z namaszczeniem, jak to rogacz skacze przodem w górę, a sarna tyłem wyrzuca, jak on ma podniesioną głowę, ona spuszczoną, jaki kolor szerści, gdy sarna wykrada się sama, to pewnie rogacz i śmiało można mu w łeb palnąć. Byli wprawdzie tacy, co na tę prelekcyę ruszali ramionami, ale zaprzeczyć nikt nie śmiał po świeżo dokonanym fakcie. Trzeba nieszczęścia dla profesora, a szczęścia w przyszłości dla rodu sarniego, że braliśmy jeszcze jeden miot, w którym profesor na rzadkim, podniesionym lesie, na szerokiej drodze, dobija sarnę, która po strzale zaczyna okropnie krzyczeć. Porucznik H. obok stojący prosi go, żeby ją strzałem dobił, ale profesor idzie do niej i piłuje jej gardło kozikiem, a ona w niebogłosy i w nasze uszy jeszcze długo żale swe wywodzi. Skonstatowano ubicie sarny, a zkonfundowany profesor z cichem: „Padam do nóg“ corychlej siadł do sanek i czmychnął do domu. Sądzę, że już w tem Towarzystwie ani wykładać ani polować nie będzie. *M.*

Z nad brzegów Pilicy.

Tegoroczne polowanie na ptaki. Łagodna i bezśnieżna zima dała kuropatwom i innym u nas zimującym ptakom wszelką możność przechowania się. Wiosna była dosyć sucha, a chociaż deszcze stronami padały, to jednak z powodu braku w zimie śniegów bagna zwykle przez nie na wiosnę wodą zasilane wyschły. Warunki więc dla gnieżdżenia się w nich ptactwa stały się głównie z tego powodu niekorzystnymi, iż pastuchy, wypędzając bydło na pastwiska w lasy i bagna, a u nas przeważnie nie są jeszcze zniesione służebności pastwiskowe, dochodzą na wiosnę, gdy sucho, w każdy zakątek krzaków i bagien, i z jaj kaczek dzikich, ceranek, cietrzewi i t. d. gotują sobie jajecznicę. Kto szanuje zwierzynę, drapieżne zwierzęta tępi i z jam wykopuje, ptaki drapieżne na wiosnę w gniazdach bije, co tu robimy, a za młodego lisa płacimy 30 kop, ten się może spodziewać obfitego zwierzostanu, a jednak mimotego często nadzieja zawodzi. Na psy i koty wałęsające się bez klocka mamy w Królestwie Polskiem prawo z 17 Lipca 1871 r. §. 33. „Psy zwyczajne bez sznurka i bez klocków po polach i lasach biegające, równie jak koty, mogą być bezkarnie ubijane“. §. 32. daje miarę klocków długości 2 i pół stopy, grubości 2 i pół cali. Staraliśmy się znajomość owych przepisów prawnych rozpowszechniać, i wątpię, iżby w naszych stronach jaki sąd gminny, sędzia lub który z ławników tych przepisów nie znali, i jest już u nas zwyczajem mówić zamiast „zabiłem psa“, „zastosowałem artykuł 33“. Ale niestety jak na drapieżne zwierzęta są środki, tak nie ma ich na pastuchów, i nie znalezionoby ich, choćby Towarzystwo łowieckie i „Łowiec“ nadgrodę nawet dla wynalazcy takich środków wyznaczyły. Niepodobna, iżby gajowy każdego pastucha śledził, a nawet gdyby go złapał na gorącym uczynku gotowania jajecznicy z jaj dzikich kaczek, cietrzewi lub innego ptactwa, to karą za to przestępstwo mogą być chyba potężne razy laski gajowego, bo sąd ukarze na mocy §. 50. tylko aresztem 1—3 dni. Po suchej wiośnie początek lata był także suchy, więc błotne ptactwo wyniosło się z naszej okolicy, a kaczek, ceranek, cietrzewi było bardzo mało. Gdy przyszły po św. Jakóbie deszcze i słoty, a bagna znowu wodą nasiąkły, zaczął się ciąg dubeltów, bekasów i innego wodnego ptactwa; nawidziła naszą okolicę istna plaga egipska derkaczy chruścieli i kurek, i taki wpływ wywierała na humor myśliwego, jak porośnienie pszenicy na gospodarza. Ponieważ po polach i łąkach nikt nie chodził przed żniwem i sianokosami, to ptactwo gnieżdżące się w zbożach i trawach, a szczególnie derkacze chruściele i kurki, miały wszelką swobodę rozmnożenia się. Opanowały te ptaki łąki i bagna po żniwach tak dalece, iż niemal niepodobnem uczyniły polowanie na dubelty i bekasy. Myśliwy był w kłopocie, bo dubelt robi także dużo tropów nim spocznie, więc wyżeł ledwo wszedł w bagno, już ściągał. Jak go odwoływać, gdy się za tropem posuwa, wszak może wietrzyć dubelta, dopiero po pewnym czasie zaczyna podskakiwać, a myśliwy przekonuje się, że to derkacz, kurka, a nie dubelt. Przytem gdy chruściel i kurka mają silny odwiatr, więc nieraz się zdarzało, że pies prowadził i wystawiał derkacza, a tymczasem w prawo i lewo porywały się niewystawiane dubelty, które się też pudłowało, bo myśliwy nie był na nie przygotowany. Mówią, iż najlepiej w takim razie nie strzelać do derkaczy, to pies przestanie je wystawiać, ale to są *pia desideria*. Myśliwy nie lubi wracać do domu z próżną torbą, a że nie jednego nie wystawionego przez psa dubelta chybił, więc strzela do derkacza choćby tylko dla tego, aby powtórnie psa nie bałamucił. U nas tego roku prawdziwa była rozpacz z tymi chruścielami, ledwie kiedyniekiedy pies nie derkacza lecz dubelta wystawiał. Myśliwy wracający z polowania błotnego miał zwykle w torbie 3—4 dubeltów, 5—6 bekasów, 2—3 przepiórek, 14—18 chruścieli i kurek. Plaga ta trwała przez całą jesień do samej zimy, bo nawet gdy ficlauze nadleciały i kończyło się polowanie błotne na ptaki, to na 5 ficlauzów i 5 bekasów można było liczyć 15 chruścieli i kurek. Na kuropatwy i przepiórki było w tym roku świetne u nas polowanie i opłaciło starania i koszta rozmnożenia, żywienia i ochrony zwierzyny. W polach nie było już tej plagi z derkaczami, bo one poszły na bagna, gdzie kuropatwy nie siedzą, chyba wyjątkowo zapadną znużone. Gdy w tych dniach śniegi spadły, natychmiast stawiano u nas na polach budki z choiny i gałęzi świerkowych i jałowcowych, gdzie kuropatwom zaczęto sypać pożywienie. *Witold hr. Potocki.*

Uładówka (Podole rossyjskie). 6 Listopada 1882.

„Bębnienie kszyka“ zwracało uwagę myśliwych bardzo już dawno, kwestya ta, czy kszyk w czasie lęgu bujając w powietrzu wydaje głos gardłem lub też skrzydłami, podjęta pierwotnie przez niemieckich naturalistów (Naturgeschichte Deutschlands. v. Bechstein), snuje się prawie od wieku i jest po dziś dzień problematem nie rozwiązanym. O tej materyi dużo już w pismach łowieckich pisano, ale to co nam Pan G. w „Łowcu“ Nr. 8. z r. 1881 głosi, jest całkiem coś nowego. Pan G. nożem anatomicznym przecina węzeł gordyjski, i wyszukał w wnętrzu gardła narząd podobny do „laskowego orzecha“, którym kszyk bębni, a nawet widzi, jak bębniąc „ma gardziel nieco wydęty“. Wiemy o tem, że kszyk zrywając się wydaje głos: „kszy“, następnie w czasie parowania wabią się głosem: „dikut — dikut“, siedząc na drzewie lub ziemi, a nawet piechotą ku sobie zbliżają się, przypuszczać więc należy, że w wnętrzu kszyka musi być organ służący do wydobywania tych głosów, może nawet być nim ów „narzędzik kostny, we-

wnątrz próżny“, żeby jednak ten organ miał być narzędziem do „bębnienia“, jest rzeczą bardzo wątpliwą. Prosimy uprzytomnić sobie bardzo wymowny moment z samego faktu bębnienia, gdy kszyk bujając w powietrzu nagle szeroki łuk zakreśla i pędem strzały ku dołowi się spuszcza, w chwili ostatniego drgnięcia lotkami przestaje i bębnić, bębni więc tylko, gdy się na dół spuszcza. Jeżeliby tedy głos wydawał gardłem, jak Pan G. „stanowczo“ twierdzi, to mógłby bez przerwy bębnić wznosząc się i do góry albo siedząc na drzewie lub ziemi, a to podobno trudno danemi poprzeć. Na mocy najnowszych doświadczeń zgodzili się jednogłośnie niemieccy koryfeusze ornitologiczni na zebraniu w Berlinie dnia 4 Października 1880 r, jako to Drowie Brehm, Altum, Cabanis, Reichenow i t. d.. na werdykt, że „bębnienie“ wywołują tylko lotki. (Jagdzeitung Wien N⁰ 24, str. 703. 1880).

Henryk Madeyski, nadleśny hr. R Potockiego.

Stryj, 28 Listopada.

Zdarzenia z niedźwiedziami. — Od lat przeszło trzydziestu hołduję bogini Dyanie, więc wiele zebrałem doświadczenia. Polowałem w różnych stronach i na rozmaitą zwierzynę, a lubo sam nie strzelałem do niedźwiedzi, byłem jednak świadkiem różnych zdarzeń. Pierwszego niedźwiedzia widziałem na wiosennym ciągu słonek, w oddaleniu trzydziestu kroków żerował spokojnie, wygrzebując z pod suchych liści żołędzie. Nie było wtedy jeszcze strzelb odtylcowych, nie mogłem przeto w jednej chwili zmienić ładunku, a strzelać słonczym śrótem było bez celu, a nawet niebezpiecznie, więc tylko przypatrywałem się, jak po chwili zwolna umykał. Drugiego niedźwiedzia widziałem, gdy wyszedł na młodego K., który dwa razy śrótem do niego strzelił, poczem go gajowy dobił. Trzeci niedźwiedź wyszedł w moich oczach na pułkownika P., który dwoma kulami go zapewne zranił, bo się zwrócił i szedł prosto na pułkownika, wtedy podbiegł pan G., dobry strzelec i dzielny myśliwy, i na 15 kroków przed pułkownikiem powalił niedźwiedzia celnym strzałem w głowę. Z czwartym niedźwiedziem niezwykłe było zdarzenie. Działo się to w jesiennej porze. Polowaliśmy w cztery strzelb na słonki w T. przy samej wsi w krzakach, mieliśmy jedną lufę nabitą słonczym śrótem, drugą sarnim, aby obok słonki rogacza lub lisa ubić. Wcale tam nie spodziewaliśmy się niedźwiedzia, a jednak zaraz w pierwszym miocie wyszedł młody niedźwiadek na pana D., który dwa razy strzelił do niego śrótem. Niedźwiadek zaskomlił i znikł w gąszczu, a w tejże chwili pojawiła się niedźwiedzica, podniosła się na tylnych łapach i wprost szła na pana D Sąsiad jego pan M. podbiegł corychlej ale nie mógł strzelić, ponieważ myśliwy i niedźwiedzica w jednej byli linii, wreszcie śrótem strzał nie mógł być śmiertelnym. Niedźwiedzica rzuciła się na pana D., który się cofał i strzelbą przed sobą wywijał. Blask luf zapewne wstrzymywał zwierza, a na szczęście w tejże chwili zaskomlił postrzelony niedźwiadek w bliskich krzakach, co usłyszawszy niedźwiedzica natychmiast ku niemu pomknęła. Nazajutrz znaleziono nieżywego niedźwiadka, ale starej już w kniei nie było Pan D. kilka tygodni chorował po tem groźnem spotkaniu.

Wiadomo myśliwym, że w porze jesiennej, gdy orzechy i owoce już dojrzałe, wychodzą niedźwiedzie z wielkich lasów ku krzakom i leśnym łąkom, gdzie tym ulubionym żerem się żywią. W moich rewirach też pojawiają się niedźwiedzie w takich miejscach, lecz trudno ich dojrzeć w gąszczu jeszcze liściem pokrytym, wreszcie trudno ich tropić na zielonej stopie. Bezowocne więc były moje zabiegi. W Listopadzie roku 1880 udało się jednak memu gajowemu zabić sporego niedźwiedzia. Spadło już wtedy trochę śniegu, gajowy na ponowie trafił na trop niedźwiedzia i poszedł za nim. Spostrzegł go zajętego rozrzucaniem mrowiska, podszedł na 30 kroków i strzelił lotkami. Niedźwiedź ryknął i stoczył się w parów. Było to już wieczorem, gdy mrok zapadał, nie odważył się przeto gajowy iść w ciemności za postrzelonym niedźwiedziem, i był pewny, że nazajutrz albo go nieżywego znajdzie, lub idąc za tropem dobije. Inaczej jednak się stało, w nocy padł deszcz, ponowa znikła, i nie można było odszukać postrzelonego niedźwiedzia. O tem zdarzeniu uwiadomił mnie, lecz deszcz lał przez kilka dni jak z cebra, nie można było polować. Po ośmiu czy dziesięciu dniach, znowu rozścieliła się ponowa, gajowy znalazł trop niedźwiedzia, i widział, że jedną łapę ciągnął za sobą, poszedł za nim, i spostrzegł go leżącego w parowie. Niedźwiedź ujrzawszy gajowego podniósł się i z obwisłą prawą łapą szedł ku niemu. Przypuściwszy go do siebie na sześć kroków, strzałem w głowę powalił go na miejscu. Był to średniej wielkości czarny niedźwiedź. Mając zgruchotaną prawą łopatkę widocznie nie mógł żerować, to też w żołądku znaleźliśmy tylko ziemię i mech. Byłby on zapewne nawet bez strzału z głodu zginął, a szkodaby była ładnej skóry. Wilki i lisy niezawodnie zazdrościli nam tej zdobyczy!

E. H.

KRONIKA.

Jako szczególną przyjemność uważamy, iż możemy czytelnikom naszym obwieścić pojawienie się Pisma, poświęconego wyłącznie leśnictwu i rozesłać im pierwszy jego numer. Sąd nasz o „Sylwanie“ odraczamy do chwili najbliższej, wymaga on bowiem rozważnego rozpatrzenia się w treści i celach tego Organu Towarzystwa leśnego, które niedawno się zawiązało, i już z całą gorliwością czynność swą rozwija. Wiemy z doświadczenia własnego, z jakim zapałem popiera ogół w naszym kraju wszelkie usiłowania dążące do podniesienia rolnictwa, leśnictwa, łowiectwa i przyrodnictwa, nie wątpimy przeto, iż „Sylwan“ wkrótce wzmoże się w siły, i z prawdziwym pożytkiem działać będzie. Z naszej strony witamy go z całą szczerością, chętnie w każdej chwili ofiarujemy nasze poparcie i pomoc, i polecamy go gorąco naszym czytelnikom.

Przedpłata wynosi dla członków Tow. leśnego rocznie 2 guldeny. półrocznie 1 guldena. Dla prenumeratorów nie należących do Towarzystwa rocznie 4 guldeny, półrocznie 2 guldeny. Należytość przesyłać należy do redaktora Aleksandra Nowickiego, ulica Gliniańska l. 11. we Lwowie.

Myszkowce, 11 Grudnia 1882.

Z korespondencyi p. Weebera dowiedziałem się o warunku, który p. Weeber aby strzelać o zakład z Lankastrówki przeciw broni Teschner-Colath obecnie stawia — sto strzałów, potem kilka dni pauzy, następnie drugie sto. Gdyby p. Weeber był ten warunek pierwej stawił, byłby mnie uwolnił od kosztu sprowadzenia dwóch strzelb i niepotrzebnego zachodu. Ja utrzymywałem, że Colatówka grubym śrótem na dalszą metę lepiej od Lankastrówki strzela, p. Weeber zaś chce udowadniać, który system więcej strzałów bez czyszczenia wytrzyma. Dla myśliwego to nie ma wartości, bo chociaż wiele poluję, nie byłem w położeniu, ani nie słyszałem, aby kto był w położeniu strzelania sto razy, a następnie kilka dni nie wyczyściwszy broni strzelania znów sto razy, byłaby to

próba w warunkach, które się nigdy nie zdarzają, a tem samem dla broni myśliwskiej nie ma wartości. Po tem wszystkiem oświadczam, że z p. Weeberem żadnych prób broni robić nie będę.

Teofil Żurowski.

P. R. Sprawa, wywołująca w roku ubiegłym żwawą wymianę zdań, żywo interesująca myśliwych, powinna być rozstrzygniętą, choćby nawet bez udziału stron dotąd z sobą polemizujących. Będziemy się przeto usilnie starać, aby ta kwestya, nietylko u nas poruszana *sine ira et studio* była zbadaną, poczem ogłosimy rezultat. Żałujemy, że polemika zrazu prowadzona spokojnie i ściśle przedmiotowo, w końcu nieco burzliwą przybrała cechę, tem bardziej, iż sprawa utknęła na warunkach odbyć się mającej próby, które przecież nie sami przeciwnicy, lecz raczej komisya w tym celu złożona w porozumieniu z nimi układać będzie. W imieniu przeto dobra publicznego upraszamy o rozstrzygnienie tej kwestyi, która sama przez się nie upadnie, bo nie przestaną ścierać się z sobą zwolennicy odmiennych systemów broni.

Rohatyn. 11 Grudnia 1882.

Towarzystwo myśliwych w Rohatynie rozwinęło się prawidłowo i przynosi prawdziwą przyjemność i korzyść tak członkom swoim, jak niemniej właścicielom przyległych kniei. Poskromiliśmy dawniej grasujące w naszej okolicy kłusownictwo, utrzymujemy liczną straż dobrze swą służbę pełniącą. Przyrost zwierzyny od roku przeszłego jest zadziwiający, zwłaszcza zajęcy i kuropatw. Uchwalonym regulaminem zawarowaliśmy, by kuropatw nie strzelać, dopóki liczba ich się nie wzmoże. W tym roku mieliśmy na naszych obszarach łownych wiele stadek, niestety znacznie przerzadzonych, wielka bowiem ilość myszy w polu ściągnęła mnóstwo jastrzębi, które kuropatwy wyławiają. W tym roku przystąpiło do naszego Towarzystwa nowych członków siedmiu, jestto dowodem żywotnej siły tego Towarzystwa mimo ograniczenia wolności osobistej, bo Regulamin nasz pod rygorem wykluczenia zastrzega, by żaden z członków pojedyńczo nie polował na żadną zwierzynę, z wyjątkiem ptactwa polowego i błotnego, a jak już wyżej powiedziałem, do kuropatw wcale nie strzelamy. Polujemy z pogonką i na dreptaka t. j. łańcuch myśliwych i pogonki postępuje przez pola i zarośla, a do pojawiającej się zwierzyny strzalamy. W jednej tylko kniei polujemy z jamnikami.

W numerze 12 „Łowca" donosi p. Weeber, że sprawa sporna dotycząca systemów Teschnera i Lankastra, jakkolwiek się odwleka, wkrótce próbnem strzelaniem rozwiązaną zostanie, wyjawia zarazem warunek, jaki zastrzegł sobie w numerze 4 „Łowca". „Warunek ten ma stanowić dla uproszonych arbitrów dyrektywę i podstawę do stanowczego orzeczenia". Żałujemy bardzo, że ważna ta sprawa tym warunkiem zabagnioną została, i że my myśliwi spodziewanego „realnego pożytku" z tego turnieju nie osiągniemy. Zapytuję myśliwych, kto z was po stu strzałach z broni jakiegokolwiek systemu nie każe jej przeczyścić, lub sam nie przetrze lufy kłakami? Tem mniej pozostawi po stu strzałach na dni kilka broń nieczyszczoną. Jeżeli system Lankastra tylko w tym kierunku jest wyższym od systemu Teschnera, to zwolennicy tego ostatniego systemu chętnie ustąpią palmy pierwszeństwa swym przeciwnikom. Mowi dalej p. Weeber, że po 100 strzałach zafolowana Teschnerówka nie przyjmie papierowych nabojów i dalsze strzały będą niemożebne, a po proponowanej kilkudniowej przerwie już gruba rdza osiądzie w zamkach Teschnerowskich". Temu ostatniemu twierdzeniu, oparty na doświadczeniu, muszę stanowczo zaprzeczyć. Rok szósty poluję ze strzelbą systemu Teschnera, w tym czasie wystrzelałem kilka tysięcy nabojów w różnych porach roku i rożnym stanie powietrza W zimie poluję przynajmniej dwa razy w tygodniu, a dotąd nie rozbierałem, ani też rozbierać komu polecałem strzelby w celu oczyszczenia zamków, a to wcale nie dla wypróbowania dobroci systemu, lecz z tej prostej przyczyny, że zamki są tak doskonałe i tak działają, jak w pierwszym dniu użycia strzelby. Że rdza w lufach każdego systemu po 100 strzałach osiądzie, o tem wiemy bez próby. Wiemy także, że nie każdy damast, używany do luf, równie jest skłonny do rdzewienia, mam podwójny sztuciec z fabryki Adama Kuchenrejtera z Regensburga, który ma tę właściwość, że lufy jego nigdy nie rdzewieją, lufy zaś Bernard damast, których używa Collath do swoich wyrobów, używany też powszechnie do wyrobu lepszej broni przez rusznikarzów, łatwo rdzewieją. Nic więc dziwnego, iż papierowy ładunek do zardzewiałej lufy nie wejdzie, ale tak też nie wejdą papierowe ładunki do strzelby systemu Lankastra. P. Weeber chce użyć przy próbnem strzelaniu metalowych, mosiężnych nabojów, w takim razie wierzę, że wciśnie je siłą w lufę i rdzę ku środkowi wtłoczy, ale czyż to będzie normalna próba strzałów i użycie broni? Kto bierze na polowanie metalowe ładunki w takiej ilości, aby ich sto mógł do strzelby nieczyszczonej i zardzewiałej włożyć? Wszakżeśmy czciciele Dyany, nie srogiego Marsa! Jeżeli wybieramy się na polowanie, które ma kilka dni trwać, to bierzemy z sobą różne przedmioty, a także składany stempel, aby w razie liczniejszych strzałów strzelbę przeczyścić. Twierdzę, że nikt nie nosi przy sobie 100 albo 200 ładunków, tem mniej metalowych, może więc stempel obok rezerwowych ładunków się znajdować. Nie mamy prawa ani możności wpływać na warunki, w jakich kwestya sporna ma się rozstrzygać, gdy wszakże sprawa publicznie jest traktowaną, przysługa nam prawo upraszać, aby eksperci i arbitrowie raczyli nam dać w „Łowcu" sprawozdanie ze szczegółowych każdych dziesięciu strzałów, abyśmy mogli mieć jasny obraz rezultatu w normalnych warunkach strzelania. W końcu upraszam o przyjęcie „Towarzystwa myśliwskiego w Rohatynie", jako osoby zbiorowej, następnie i mojej w szczególe, w poczet członków Tow. łow.

Seweryn Manasterski,
Wiceprezes Tow. myśliwych w Rohatynie

Chlebiczyn, 14 Grudnia 1882.

Dnia 11 Grudnia odbyło się polowanie w dziesięć strzelb w Kamionkach wielkich (pow. Kołomyjski) w majątku Panów Marmorosz i Kohn. Przyznać trzeba, iż panowie właściciele, aczkolwiek sami nie są myśliwymi, starannem przestrzeganiem Ustaw łowieckich doprowadzili w krótkim czasie zwierzostan do świetności, na odbytem bowiem polowaniu padło w przeciągu pięciu godzin 105 strzałów, a ubito 16 zajęcy, 2 dziki, 2 lisy, 1 rogacza, 1 jastrzębia gołębiarza, a jednego kozła trzyletniego złapała nagonka żywego. Jako niezwykłe zdarzenie przytoczę, że na jednego myśliwego wyszło 6 dzików w odległości około 70 kroków, jednego położył kulą na miejscu, poczem dziki stanęły. W drugiej lufie miał śrót Nr. 4, z nadzwyczajną szybkością zmienił naboje, i powalił drugiego dzika.

Mikołaj Asłan.

Lubzina, 20 Listopada 1882.

Przed dwoma laty, po lichem polowaniu, które niepomnę już gdzie w sąsiedztwie mojem się odbyło, wszczęła się żwawa dysputa między zaproszonymi gośćmi o powodach, dla których stan zwierzyny w naszej okolicy podnieść się nie może. Kłusownictwo, opieszałość władz w dochodzeniu i karaniu takowego, miały być exkuzą tych Panów, u których podobnie jak u mnie do owego czasu, polowania bardzo licho wypadały, i którzy byli zdania, że wszelkie usiłowania pojedyńczych właścicieli polowań w kierunku podniesienia zwierzostanu dla powyższych przyczyn jak również dla wielkiej ilości rozmaitych czworonożnych i skrzydlatych drapieżników pozostaną bez skutku. Motywowali zaś niektórzy swe błędne zdanie tym argumentem, że pomimo wstrzymywania się od polowań u siebie przez rok jeden, żadnego przybytku w zwierzostanie następnie niedostrzegli. Ośmieliłem się wówczas wystąpić przeciw tym zapatrywaniom, oskarżając głównie niedbalstwo nasze i nieznajomość zasad prawdziwego łowiectwa o tak zgubne dla zwierzyny skutki, aby zaś dać wyraz memu przekonaniu, przyrzekłem zgromadzonym gościom, że za lat dwa u mnie w Lubzinie na obszarze zaledwie 900 morgowym, gdzie przedtem na udałych polowaniach 5—8 szaraków ubijano, padnie w jednym dniu 30 zajęcy. Dwóch moich sąsiadów pan P, i pan B. znając dobrze moje polowania, zaczęli się śmiać z tej mojej rzekomej zarozumiałości myśliwskiej, proponowałem więc zakład z każdym o beczkę dobrego węgrz. Przyjęli. Minęły dwa lata, a im bliżej był termin, tem niecierpliwiej czekałem, by się pochwalić rezultatem moich usilnych dwuletnich starań. Zamarzło wreszcie, śnieg świat ubielił, na 18 Listopada 1882 r. zapowiedziane było polowanie. Wszyscy goście zaproszeni w liczbie 20 pomimo, iż w nocy deszcz padał, a zrana zadymka śnieżna ledwie oczy otworzyć pozwalała, mocno ciekawi rezultatu przyjechali — i o dziwo! zamiast jak zwykle o 10tej, przyjechali tym razem z małym wyjątkiem tak wcześnie, że o pół do 8 wyruszyliśmy w pole. W czterech kociołkach padło 19 zajęcy, następnie w lesie w 9 miotach 29 zajęcy, 2 rogacze, razem sztuk 50. Dodać muszę, że spolowany obszar wynosił zaledwie 550 morgów. Zakład świetnie wygrałem. Czemu przypisać, że od dwóch lat moje błędne poprzednio pojęcia o ochronie zwierzyny takiego przeobrożenia doznały, i że w ciągu tych dwóch lat, śmiało twierdzić to mogę, na prawdziwego myśliwego się wykierowałem? Cała tajemnica, że przed owem na wstępie wspomnianem polowaniem wpadł mi po raz pierwszy „Łowiec" do ręki. Z niego dowiedziałem się dopiero, jak zwierzynę ochraniać trzeba, z „Łowca" dowiedziałem się, że tam gdzie nie ma naturalnych, sztuczne remizy w polach zakładać należy, że na lisy, psy koty itd. są żelaza, proch i śrót, na jastrzębie puhacz i samotrzaski, że wreszcie na kłusowników jest c. k. Starostwo, którego jednak huk strzałów tych łotrów pod lasem niedojdzie, jeżli

dobrze zorganizowana i odpowiednio liczna straż myśliwska ich nie wytropi i władzy do ukarania nie przedstawi. „Łowcowi“ więc zawdzięczam ten stosunkowo świetny rezultat polowania i wygrane 2 beczki wina. To też pierwszym kieliszkiem z tych beczek zdrowie „Łowca“ spełnię z życzeniem, by jak najwięcej swoim wpływem takich marnotrawców — myśliwych, jakim sam dawniej byłem, z manowców na właściwą sprowadził drogę. *Teodor Kozakiewicz.*

W Bereźnicy, u p. Stanisława Pawlikowskiego odbyło się dnia 25 Listopada 1882 r. polowanie, na którem w 4 miotach w 15 strzelb, ubito 11 kozłów, 10 zajęcy, 4 lisy i 2 puhacze. Całe polowanie trwało 3 godziny, — a świetny rezultat tegoż świadczy nader wymownie, że p. P. jest prawdziwym myśliwym, skoro stosunkowo w małej kniei posiada taki zwierzostan. Polowanie takie i taka staropolska, serdeczna gościnność szanownych gospodarstwa pozoztaną na długo miłem wspomnieniem w pamięci uczestników. Niepodobna nie wspomnieć tu o komicznej scenie, jaka miała miejsce na tem polowauiu. W miocie trzecim, stadko sarn usiłowało, jak się to zwykle zdarza, wrócić na pogonkę, która jednak w dobrze zrozumianym interesie polowania, zaprotestowała czynnie przeciwko temu manewrowi. Atoli po krótkiej lecz zaciętej walce, sarny złamały szeregi nieprzyjacielskie, a jedna z nich w tym rozpaczliwym szturmie wpada między nogi jednemu z obławników, porywa na swój grzbiet i unosi go tak kilkanaście kroków. Jeździec ten, rozstawszy się ze swoim wierzchowcem, nie bardzo mile wspominał o swoich wrażeniach doznanych podczas tej niezwykłej jazdy. O oryginalnem zdarzeniu opowiadano mi także na tem polowaniu. W Małnowie, majątku również p. P. dnia 16 b. m. kilku myśliwych na 2 sankach przejeżdżało przez las. Wtem ujrzano kozła przemykającego z jednej kniei do drugiej. Kozioł ten, widocznie dopiero w ostatniej chwili, kiedy miał przemknąć przez drogę, spostrzegł sanki idące w tyle (nie widząc, jak się zdaje pierwszych) i spłoszony ich widokiem sadzi w szalonych susach w kierunku prosto na sanie idące przodem, a natknąwszy na nie i widocznie niemogąc w ostatnim już momencie pokonać zapędu, by zmienić kierunek, wykonuje po nad głowami zdziwionych myśliwych salto mortale, którego i jeleńby się nie powstydził. Godny podziwu ten skok, nie ze wszystkich piersi wywołał okrzyk uwielbienia, miał on bowiem niemiłe następstwa, ma się rozumieć nie dla kozła, który uszedł niestrzelany, gdyż strzelby spoczywały w futerałach, i zresztą nikt się nie spodziewał takiej awantury, lecz dla jednego z myśliwych, który przy tej ewolucyi, otrzymał od kozła tak potężne uderzenie stopą w czoło, że mu aż czapka z głowy zleciała, a skóra z czoła do krwi została zdartą. *Wł. R.....*

Romaszówka, 16 Grudnia 1882.

Dnia 9 Grudnia na polowaniu u mnie zabito w 9 strzelb 78 zajęcy i 1 lisa. Strzałów padło 160. Sarny widziano w każdym miocie kozłów jednak prawie nie było. Jednego ja postrzeliłem, lecz go nie odszukano. W przeszłym roku w skutek motylicy tak mało było zajęcy, że w tej samej kniei zaledwo 18 ubito. *Adam br. Heydel.*

Łubianki pod Zbarażem.

Dnia 25 Listopada 1882 r. ubito w tutejszych kniejach w 28 strzelb na 228 strzałów: 4 lisy, 72 zajęcy, 1 psa. Cyfra strzałów wskazuje, że mogła była paść podwójna liczba zwierzyny. Nie sprzyjała nam pogoda, większa połowa zajęcy znajdowała się w polu, wreszcie strzelano ledwie do czwartej części zajęcy, z miotów wypędzonych. Z uznaniem przyznać należy, iż właściciel lasów nieszczędzi trudu i kosztów w celu podniesienia zwierzostanu, a straż lasowa wzorowo uorganizowana tępi gorliwie drapieżnictwo, nie dziw więc, że łowy urządzane w lasach Łubianeckich mają już na Podolu dobrze zasłużoną reputacyą, a w przyszłości jeszcze pomyślniejsze rezultaty wróżą. *A. W.*

Poczuwam się do miłego obowiązku podzielenia się z szanownymi czytelnikami „Łowca“ wiadomością o świetnym rezultacie dwudniowego polowania, które się odbyło w Wielkiejwsi u Jana hr. Stadnickiego. Polowano w ośm strzelb w dniach 15 i 16 Grudnia 1882, pierwszego dnia w polu, drugiego w górach, z których część stanowi świeże sośniną zakultywowane pastwisko, i ubito 160 zajęcy, 4 kuropatwy i 1 lisa. Stwierdzić tu jeszcze wypada, że z powodu ciepłej i niekorzystnej aury zwierzyna tylko z nadzwyczajnem wysileniem naganki na myśliwych wypędzić się dawała. Polowanie powyższe prowadzone przez samego gospodarza sprężyście i z niezwykłym zmysłem organizacyjnym, niech służy za dowód, do czego u nas staranny chów zwierzyny i ścisłe przestrzeganie Ustaw łowieckich doprowadzić mogą. *St. St.*

Dnia 11 Grudnia 1882 polowaliśmy w pięć strzelb w Hermanowicach pod Przemyślem u p. J. Rakowskiego. W siedmiu małych miotach zabiliśmy 23 zajęcy i 4 lisy. *W. W.*

---

25 Listopada 1382.

Przelatujące przed niewielu dniami olbrzymie stada gęsi na wschód i południe ciągnące, przywiodły mi na myśl korespondencyę hr. Leop. Starzeńskiego z 10 Lipca r. z., umieszczoną w 9tym Numerze „Łowca“. Nie myślę oponować polityczno-myśliwskiej rozprawie pana hrabiego i występować w szranki z tak żarliwym obrońcą rodu gęsiego, choć na podstawie przeszło czterdziestoletniej mej praktyki myśliwskiej mam wprost przeciwne zdanie o zdolnościach umysłowych gęsi, i odmienne wyobrażenie o sposobie polowania na nie i trybie ich życia; mnszę jednak stanowczo zaprzeczyć twierdzeniu pana hr. S., jakoby gęś do królewskiej zwierzyny „Hochwild“ zaliczać można. Jej kształt, sposób życia, polowanie na nią, mało ją różnią od kaczki, a upierzenie i smak znacznie ją niżej od kilku gatunków kaczek stawiają. W czasaeh polowania z sokołami gęś na równi z kaczką była jako podła zdobycz uważaną, a tylko żóraw, czapla i łabędź prym wodziły. Później gdy palnej broni i do ptactwa używać poczęto, gęś była obfitym i pożądanym połowem dla kowali (myśliwych) i kłusowników, gdyż zręcznie stado podszedłszy na suchem polu lub podjechawszy na stawie można było kilka sztuk naraz położyć, ja sam lat temu dwadzieścia kilka, siedm gęsi dwoma strzałami zabiłem. U nas więc pewnie nikt gęsi za królewską zwierzynę ani dawniej, ani teraz nie uznaje, jeżeli zaś przyjmiemy podział polowania Niemców, to oni rozróżniają Hochjagd, Mitteljagd i Niederjagd. Do Hochwild należą: drop, głuszec, cietrzew, żóraw, czapla, łabędź, a bażanta jedni zaliczają do Hochwild, drudzy do Mittelwild, a do tej kategoryi należy jeszcze jarząbek. Niederwild zaś nazywa się wszelka inna zwierzyna, jak: słonka, kuropatwa, przepiórka, całe ptactwo błotne i wodne, a między tem i gęsi. Tak według Hartiga i Liebicha, jak według pierwszorzędnych powag w nauce łowieckiej gęś jest w oddziale Niederwild umieszczoną. Każdy zresztą kalendarz myśliwski, jak np. Jagdkalender von Raoul von Dombrowski zupełnie ten sam podział zwierzynie naznacza. Ośmieliłem się wymienić wszystkie rodzaje ptactwa do pierwszego i drugiego działu u Niemców zaliczone z obawy, aby pan S. stając może znowu kiedyś w obronie rzekomo przez historyę naturalną i naukę łowiecką pokrzywdzonej jakiej skrzydlatej zwierzyny, nie starał się jej pod Hochwild podciągnąć, a tem samem nie zechciał nie wypierzonych jeszcze myśliwych bałamucić, jak w tym wypadku, że gęś do królewskiej zwierzyny należy. Panie Hrabio! Autorze ostatnich polskich łowów! Na tę grubą pomyłkę cóżby rzekł stary Wojski, gdyby ożył! *S. O.*

Miżyniec, 3 Grudnia 1882.

W ostatnich dniach Listopada ubito na kilkodniowem polowaniu w Miżyńcu u ks. Adama Lubomirskiego w 6 strzelb: 1 dzika, 44 lisy, 21 rogaczy, 88 zajęcy. Strzałów padło 638. Dnie były ciepłe i pogodne, więc zające w polu siedziały. Spodziewane dziki, których na czarnem polu nie można było otropić, powstrzymywały przez dzień jeden od strzałów do zajęcy. Straży leśnej i strzelcom przez cały czas polowania strzelanie do zajęcy było wzbronione. Dodać należy, że mioty brane były wielki,e w każdym najmniej 12 stanowisk, a myśliwych było tylko sześciu, więc wiele zwierzyny uchodziło niestrzelanej. Lisów tego roku bardzo wiele, niezawodnie mniejsza ich połowa tylko poległa. *A. Miazga.*

Z nad brzegów Sołokii.

Na kilka dni przed pojawieniem się śniegu wyszedłem na polowanie, zapuszczając się na niegdyś olbrzymie, dziś znacznie osuszone bełzkie błota, o tej bowiem porze znaleść tam jeszcze można skrzydlatą zwierzynę, ociągającą się z odlotem. Ubiłem 6 bekasów i 2 ficlauzy. — W tem staje mój wyżeł, a zpod kępy, porośniętej sitnikiem, wymyka lis. Kropnąłem go drobnym śrótem, ale że to było blisko, więc został. Zdobycz pożądana, ale zbyt ciężka na moje nie tęgie siły, więc chwytam się praktycznego sposobu, ściągam z lisa koszulę i chowam ją do torby. Daleko jeszcze było do wieczora, więc ruszam dalej. Znowu wyżeł staje i ta sama powtarza się historya, wymyka lisiura i pada od mego strzału. Obecność na tych błotach bekasów i lisów wcale mnie nie zadziwiła, bo bekasy czasem nawet w początku Listopada się tu pojawiają, lecz zdziwiło mnie tak wczesne zjawienie się lisów na tych moczarach, bo zwykle idą one tam dopiero po zwaleniu się śniegów. Co je napędziło, głód czy przeczucie zmiany powietrza? Rok ten z powodu obfitych deszczów mniej był korzystnym dla mnożenia się myszy, a nawet chrząszczów i żuków, czem lis żywi się w jesieni. Więc widocznie przeczucie pojawienia się śniegów wypędziło lisy na moczary po żabki i piskorze, które

znajdują one tam po kołbaniach. W istocie spadł śnieg trzeciego dnia po tych moich łowach. U nas w tym roku wiele lisów, tępić je należy, lecz w jaki sposób zwłaszcza tam, gdzie nie ma lasów, a lis dniuje i nocuje w czystem polu. Na strzelbę trudno go wziąć, więc lubo nie jestem przyjacielem charciego polowania, w takich bezleśnych okolicach pochwalam trzymanie chartów. Zresztą chyba brać lisa trucizną, ale to okrucieństwo. Wilki też jawią się z Kongresówki, gdzie zakaz posiadania broni mnoży je. W nadgranicznym Wasylowie widziano dwa stada wilków. *S.*

Żukocin, w Grudniu.

Wyczytawszy w „Łowcu" korespondencyą podpisaną przez Wasyla Łuciaka, gajowego w Kamionkach, ucieszyłem się w pierwszej chwili niezmiernie, że gajowy, może nie umiejący czytać ani pisać, tak dobrze zna Ustawę łowiecką, iż nawet paragrafy tejże cytuje, i że chcąc kogoś pouczyć o istnieniu tejże Ustawy wie zarazem o istnienin Redakcyi „Łowca", aby za pomocą tego organu zgromić nieprawidłowo polujących. Po głębszym jednak namyśle przyszedłem do przekonania, że ów Wasyl Łuciak nie jest rzeczywistym korespondentem, lecz osobą podstawioną, poza którą kryje się znany mi dobrze, wszystkim szkodzić pragnący. Temu to panu chcę dać należytą odprawę. Przystępując do rzeczy oświadczam, iż 23 Listopada z. r. nikt w Żukocinie nie polował. Nie przeczę, iż może z sąsiedniego lasu Korszowskiego, gdzie często polują z psami, mogły postrzelone sarny wejść do rewiru w Kamionkach, ale to nie obchodzi straż leśną w Żukocinie, z czego się okazuje, że fakt podany jest wierutnym fałszem. Na dowód niech mi będzie wolno przytoczyć okoliczność, że w całem państwie Żukocińskiem nie tylko właściciel sam psów nie trzyma, ale nie wolno też leśniczym pod rygorem utraty służby trzymać psy, a tem bardziej bez zezwolenia polować. Zresztą korespondent ukryty poza firmą Wasyla Łuciaka, pełniąc przez dłuższy czas obowiązek leśniczego w Żukowie, wie bardzo dobrze, jak ściśle i surowo przestrzeganą jest Ustawa łowiecka w rewirach państwa Żukowa, wziąwszy więc na uwagę, iż może człowieka zupełnie niewinnego pozbawić chleba, powinienby powstrzymać się od rozsiewania kłamliwych pogłosek. Jako illustracya, o ile przestrzeganą jest Ustawa łowiecka w rewirach państwa Żukowa, niech posłuży fakt, że w rewirze Bereżów na przestrzeni 450 morgów można każdej chwili znaleść kilkanaście stadek sarn w liczbie do 100 sztuk, co przecież przy podobnie urządzanych polowaniach, jak je korespondent z Kamionek opisuje, byłoby rzeczą niemożliwą zważywszy, że sarna wobec głosu psa pomyka jaknajdalej. W końcu radzę, by cały Zarząd leśny wraz z swoim zwierzchnikiem

Nie wściubiał tam nosa,
Gdzie nie posiał prosa.

Ludwik Dumański, leśniczy w Żukocinie.

Hr. Józef Potocki polował dnia 7 Grudnia w rewirach Starosielskich w 8 strzelb. Powietrze było nader niekorzystne, mgła zasłaniała najbliższy widok, mimo tego ubito: 51 zajęcy i 8 rogaczów. Podnieść należy, iż żadnego nie widziano lisa. Polowanie prowadził wzorowo dyrektor lasów W. Gebauer. — Dnia 11 i 12 Grudnia z. r. polowano w 6 strzelb. Ubito 125 zajęcy, 14 rogaczy, 7 lisów i 1 jarząbka.

Z nad Sanu, Grudzień.

Smutno i pusto w naszych górach, smutno, bo nie odzywa się trąbka po kniei z wtórem grających ogarów, jak to dawniej bywało. — Łowców prawdziwych niewielu, a i ci z małym wyjątkiem radziby nową modę wprowadzić do górskiego myśliwstwa, zarzucają psiarnie, używają ludzi do wypłaszania zwierzyny, ale jakiej — lisów, zajęcy, których u nas zawsze nie wiele, i sarn, a to wedle mego starosanockiego zapatrywania nie zwierzyna, lecz zwierzynka. Dobrze a nawet pożytecznie polować z nagonką u was na dołach, w tych tam waszych kniejkach, a nawet kniejach na równej przestrzeni, lecz u nas zwłaszcza w prawdziwych Beskidach tak polować, to istotnie „szkoda czasu i atłasu". Niektórzy myśliwi nasi polują z sukcesem z nagonką po niższych górach, bo im wystarcza zwierzynka, snać w swej skromności ani marzą o grubej zwierzynie Beskidów, o jeleniach, niedźwiedziach, dzikach. W owe miejsca nawet w sto nagonki puszczać się — to błazeństwo, potrzeba psiarni, i to dowodnej psiarni, a tej utrzymać nie ma za co, bo dochód pożerają banki *et caetera!* Więc cisza zaległa śród wesołych naszych niegdyś gór. Do niedawna było to jeszcze jakotako, lecz ze śmiercią Józefa Tyszkowskiego, który w jesieni lub zimie zwykł był zjeżdżać do swych dóbr górskich, i jak prawdziwy łowiec polował na grubego zwierza, z jego śmiercią wszystko się skończyło. Ot! ni wesela, ni korzyści! Korzyści nie ma, bo zwierz drapieżny wilk i niedźwiedź obficie się rozmnożył, niemal dziesiątkuje dobytek. A niedźwiedzi sporo, przy pierwszym śniegu, który do połowy stajał i zasilił nasze potoki i rzeki, choć mrozy dosięgały ośmiu stopni, nie ułożył się do snu zimowego, czyli nie gawrował jeszcze, lecz włóczył się po okolicy, podchodząc ku wsiom dalej od Połonin i Beskidów położonym. Jeżeli zima taką będzie, jak zeszłoroczna, to bieda niedźwiedziom, bo aura zasnąć im nieda, ale bieda też i góralom, każdej nocy trzeba będzie staczać batalie z mysiami, dobywającymi się do obor. Taka to dola górali! Czemu to wy tam na dołach nie urządzicie jakiej łowieckiej wyprawy w nasze strony, czemu nie pamiętacie o złotych słowach Winc. Pola:

„W góry, w góry miły bracie,
Tam to rozkosz czeka na cię!" *L.*

Muszyna.

Mając interes w pozostaniu przez kilka dni w Muszynie, wybrałem się tam z nierozłączną towarzyszką moją flintą. Przedpołudniowe godziny poświęcałem interesowi, a popołudniowe zabawie łowieckiej, zawzięcie strzelając de kwiczołów, gęsto obsiadających naddrożne jarzęby. Pierwszego dnia zabiłem ich 14, a następnego ani jednej sztuki, bo spłoszone strzałami uleciały na wzgórza, w stronę zwalisk starego zamczyska, którego mury wybornie mi służyły za ochronę, a raczej zasadzkę na te ostrożne ptaki. Ukryty za murem strzelam do kwiczołów, obsiadających pobliskie krzewy, i w ten sposób ubiłem ich kilka sztuk. Uwaga moja zwrócona była głównie na zarośla i obsiadające je kwiczoły, lecz spoglądnąwszy na mur, widzę siedzące jakieś stworzenie na framudze. Byłem przekonany, że to puhacz lub sowa, więc przygotowuję się do celnego strzału. Framuga umieszczoną była dość wysoko, a że mur był gruby także głęboko, odszedłszy więc od zamczyska kroków kilkadziesiąt, palę, do tego stworzenia, którego oznaczyć nie mogłem. Strzał był celny, ale mało skuteczny, bo drobnym śrótem, stworzenie to poczęło rzucać się w wnętrzu framugi, wtedy dopiero ponałem, że to był duży, bury kot. Strzeliłem z drugiej lufy, żył jeszcze, więc szybko wkładam naboje zajęcze i kropię zwierze z obu luf. Padł nieżywy, lecz pozostał w framudze. Pożyczonym w miasteczku bosakiem ściągnąłem go, był to nie kot, lecz ogromny żbik samica. Mieszczanie Muszyńscy mówili mi, że tego według ich mniemania zdziczałego kocura często widywali pastuchy na murach owego zwalonego „kasztelu", że w tym roku „coś" w pobliżu ruin porwało jagnię, i byli przekonani, że to orzeł. Upewniłem ich, że tym złoczyńcą był ów żbik. Wielkim on jest szkodnikiem, zaczaiwszy się na drzewie na przechodzące ścieżynką sarny, spada na nie, zagłębia zęby i pazury w ciało swej ofiary, i dotąd trzyma ją w swych objęciach, aż znużona szalonym pędem, bolem i utratą krwi padnie nieżywa. — Wtedy żre żbik mięso, niedojadki porzuca, nie wracając do nich, żywi się bowiem tylko świeżem mięsem, ścierwem chyba tylko w wielkim niedostatku, rozkładającem się zaś nigdy. Żbiki żerują za dnia i w nocy a pod względem szkodnictwa w zwierzostanie groźniejsze są od rysiów, wychodzą bowiem na łowy także w pola chwytając zające, kuropatwy, przepiórki, gdy ryś przebywa i żeruje tylko w lesie. *Ł.*

W Starym Gwoźdźcu odbyło się dnia 9 Grudnia polowanie w 10 strzelb, w przeciągu czterech godzin. Padło strzałów około 130, ubito 76 zajęcy i 3 lisy. *S. D.*

Złoczów.

Głównem zbiorowiskiem, a raczej głównym szlakiem ciągu słonek w tych stronach są wyżyny porośnięte lasem, zwane Obertasowem. Wyżyny te rozlegają się na znacznej przestrzeni, mieszczą lasy Złoczowa, Pluchowa, części Podlipiec, Metaniowa, Iwaczowa i Trościańca, mają zatem wielu właścicieli, którzy bądź sami bądź dozwalając znajomym nieustannie buszują po lesie, szukając różnorodnej zwierzyny. Zajęcy tu niewiele, sarn więcej, osobliwie w części Złoczowskiej, gdzie więcej ładu i las zaszanowany, a najwięcej coroku słonek tak w jesieni jak na wiosnę. Tej jesieni ubito ich bardzo wiele, ja sam w trzech dniach zabiłem na wypłoszonego sztuk 13, na rannych ciągach 6, na wieczornych 8, razem 27, ileż ich ubili młodsi i gorliwsi odemnie. Wyżyny te Obertasów są odnogą łańcucha gór, zwanych Woroniakami, okalających rozległe doliny podzłoczowskie. W ogóle wzgórza lub góry przytykające do dolin, mają swoją właściwą cechę, że są jakoby przystanią dla skrzydlatych wędrowców, ciągnących lub wracających z obcych krajów. Z błotnego ptactwa zjawiają się tam, jak już rzekłem, słonki i niemal wszystkie gatunki, odlatujące na zimę w cieplejszą strefę. — Hurmami przeleciały paszkoty i kwiczoły, objadłszy maliny i jarzyny, których tu bardzo wiele, obecnie zjawiły się jemioły, gęsto obsiadając stare drzewa,, na których

rościelając się pasożytna roślina „jemioł“ służy im za pożywienie, od której też dostały swą nazwę. Niemniej też obsiadają krzew kaliny, jarzębinę, bez czarny i koralowy, objadając ich jagody. Nawet niektóre ptaki z rodziny łuszczaków pojawiły się stadami, i znikły w dalszą idąc wędrówkę. Kwiczoły, paszkoty i jemioły bił z flinty, kto w Boga wierzył, lud nasz obojętnie się zachowuje wobec tych rozkoszy łowieckich i ptasznickich, strzelać nie lubi, również chwytać w sidła nieumie, co najwięcej wędką lub sakiem chwyci rybę w cudzym stawku lub na rzece, bo to towar popytny, lada żyd wódką zań zapłaci. *Cza...*

Zwracamy uwagę na pigułki K. Hostońskiego wypróbowanej skuteczności w chorobach psów, szczególnie nosaciźnie. P. Hostoński złożył w Redakcyi liczne świadectwa, potwierdzające skuteczność tych pigułek, oraz obszerny inserat, który z powodu opóźnienia chyba w lutowym numerze „Łowca“ ogłosić możemy. Posiadacze cennych psów powinni owe pigułki mieć w zapasie, aby wcześnie zapobiegać następstwom chorób, i nie dozwolić im się rozwinąć do tego stopnia, że już żaden środek skutecznie działać nie może. Główny skład tych pigułek znajduje się w handlu A. Dzikowskiego we Lwowie.

INSERATY.

Redaktor: **Józef Łoziński.** Adres: **Władysław Zontak** ul. Teatralna Nr. 18.

Z I. Związkowej drukarni we Lwowie, Hotel Zorża.